№ 44. Warszawa, dnia 22 Października (3 Listopada) 1883 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOS

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.- Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

RUCH W PRZYRODZIE.

Ustęp z angielskiego dzieła pana de Vere p. t.

Stray leaves from the book of nature.

(Liście z księgi przyrody.)

Streszczony przez

Sewerynę Duchińską.

(Dalszy ciąg.)

Toż samo dzieje się we Francyi. Ludwik ś-ty odpłynął jak wiadomo z Aiques- Mortes, na krucyatę. Miejsce gdzie wsiadł na okręt leży dziś o milę od brzegu i przestało być portem. W wieku zeszłym, statek angielski rozbił się pod Roszellą o ławę ostryg i pozostał na morzu. Dziś miejsce to podniesione o trzynaście stóp nad poziom, zamieniło się w żyzną glebę. Anglia przedstawia podobne fenomena. Zatoka Hith naprzykład w hrabstwie Kent, uważana niegdyś za wyborny port, mimo przedsiębranych prac, stała się dziś łąką i polem.

Uczeni geologowie Skandynawscy, wykazali, że na północnych brzegach Skanii, ziemia szwedzka podnosi się do pięciu stóp w ciągu jednego wieku, gdy tymczasem obniża się stosunkowo na południowych brzegach. Kilka wsi na południu o trzysta stóp bliższe są dziś Baltyku, niżli za czasów Lineusza, który odmierzył odległość ich przed stu laty. Ów tajemniczy ruch stałego lądu poświadczony przez historyą, objawia się i dziś widocznie, na brzegach angielskich i norwegskich. O sześć mil nad poziomem, ciągną się warstwy zwyczajnych muszel, widoczne ślady dawnego poziomu. Na brzegach Niemiec i Holandyi, ziemia zapada się coraz to głębiej w morze. Ztąd niezliczone legendy, prawią cuda o zapadłych miastach i całych okolicach. Według tych podań, widać w dzień jasny, dzwonice podmorskich kościołów, w niedzielę zaś słychać bijące dzwony. Wieści o zapadłych miastach nie są bynajmniej wymysłem wyobraźni. Wiadomo jak energiczne środki przedsiębierze Holandya, aby kraj wydrzéć z grożącej mu paszczy oceanu.

Ale i morze ulega prawom takiej samej oscyllacyi. Dno oceanu spokojnego, podnosi się i zniża naprzemian. Wszędzie też panuje ruch, tak po nad ziemią, jak na ziemi i w jej wnętrzu. Słońce nie jestże powodem tego ruchu wiecznego? Z łona oceanu, unoszą się w powietrze wody, które mają użyźniać dwie półkule.

Chmury przenosząc te wody, od jednej strefy do drugiej, pod rozmaitą formą, tu roztaczają się na błękicie, jak płaszcz z purpury i złota, tam piętrzą się jak tytaniczne gmachy, tu rozmykają upusty i zalewają wierzchołki gór, tam drobnym deszczykiem spadają dobroczynnie na wygorzałą rolę, to skrystalizowane w śnieg, błyszczą jak dyamenty, to znów perłami rosy zdobią trawki i drzewa. Działanie ich na pozór kapryśne, a przecież każda część kuli ziemskiej, otrzymuje co rok swój udział, każda rzeka zapełnia swe koryto, każda Najada swoją konchę.

A wichry! niezmordowane to wędrowce! Słyszymy ich szumy i pogwizdy, ale nie wiemy zkąd pochodzą, gdzie idą! Wesołe wiodą życie, te majtki eterycznych przestrzeni! To pędzą złote chmurki po lazurze niebieskim, to igrają z wierzchołkami olbrzymich sosen północnych, rozbudzają uśpione echo, zbierają woń z kwiatów na łące. Dziś kołyszą faliste łany, jutro otrząsną kwiat z grusz i jabłoni, ogołocą z liści drzewa w lecie.

W dnie skwarów letnich, skąpią się w oceanie, i poniosą dobroczynną rosę na spiekłe pola, w szybkim przebiegu, jedne musną zaledwie powierzchnie wód, inne zaorzą w niej głębokie bruzdy.

II.

Wędrówki roślin.

Wskazaliśmy ruchy przyrody nieorganicznej. Ruchy ciał organicznych, widoczniejsze dla oka, mniej pozostawiają śladu Skała w wędrówce swojej, znaczy na przestrzeni ślady przebiegu, szeregiem drogowskazów, ludzie zachowują pamięć przeszłości, za pomocą tradycyi i pomników, ależ rośliny i zwierzęta, z natury swej tak słabe! Brak im głosu, by opowiedzieć przeszłość. To co wiemy o ich wędrówkach, ciekawe daje nam skazówki, co do wewnętrznego życia przyrody.

Poeci pisali elegie nad losem biednych kwiatków przykutych do miejsca zkąd wyrosły. Opiewali również olbrzymie drzewa, podnoszące ku słońcu zielonę konary, jakby żaląc się na nieruchomość swoją. Rośliny przecież wędrują bezustannie i daleko. Wprawdzie wędrówka ich odbywa się dopóki są ziarnami, ale za to ileż mają środków podróżowania! Woda, wiatr, zwierzęta i ptaki, a w końcu ludzie, wszystko to służy im, przenosi ich, od wybrzeża do wybrzeża, od oceanu do oceanu! Wszystkie siły przyrody, działają wspólnie, aby roznosić po kuli ziemskiej, bogactwa świata roślinnego. Czwarta część roślin, ma ziarnka opatrzone skrzydełkami, aby mogły lecieć z wiatrem w najdalsze strefy, każda rzeka i strumień, a nawet deszcz ulewny, pociąga tysiące roślin na inną glebę. Silne prądy morza, przeno-

szą z wyspy na wyspę owoce i pestki, a w morzu południowem każda prawie gałązka koralowa, pokryta bujną roślinnością. Nowe okazy, rozkwitają w miejscach gdzie ich nigdy nie było. Człowiek jest najczynniejszym działaczem w tych migracyach.

Historya i nauka zgadzają się pokazując, że arterya żywota kuli ziemskiej, idzie w tymże samym kierunku jak i słońce ze Wschodu na Zachód. Wszystko przychodzi do nas ze Wschodu. Nie mówimy tu o pierwszej dobie świata, o epoce, kiedy z odmętów oceanu, wybiegły wyspy i rośliny, które od biegunów po równik zarosły ziemię całą i wierzchołki gór i płaszczyzny: nie mówimy o czasach, kiedy palmy i paprocie, legły przywalone wiecznemi lodowiskami mórz północnych, zbyt mało jeszcze zbadane te wielkie fenomena: ale w czasach późniejszych, możemy śledzić krok za krokiem wędrówkę wielu roślin. Kawa, herbata, trzcina cukrowa, bawełna, banany, drzewa pieprzowe i t. p., wszystko to pochodzi ze Wschodu. Lecz i konopie przyszły z tychże stref, soczewica i ogórki wprowadzone były do Grecyi wskutek wypraw Aleksandra Wielkiego.

Człowiek w dalekich wędrówkach, roznosił i rozpowszechniał ze szczególnem staraniem, rośliny które służyły mu za pokarm, a zwierzętom za paszę. Okolice podzwrotnikowe wydają: kokosy, daktyle, chlebowe drzewo, lecz te rosną tylko w skwarnem klimacie, nie podobna ich gdzieindziej hodować. Zbożowe rośliny mają z natury swojej kształt wiotki, człowiek łatwo przenosić je może. Z pomiędzy czterech tysięcy odmian, znanych na kuli ziemskiej, wybrał ich około dwudziestu, te zarówno w gorących strefach jak i pod zimnem niebem północy, wydają nam w ciągu jednego lata zdrowy i smaczny pokarm. Od czasu wprowadzenia w użycie tych roślin, datuje nowa era w dziejach ludzkości. Odtąd, obok koczowniczego życia pasterzy, widzimy rozwijające się spokojne życie rolników. Wielkie też przejawy dziejów ludzkich, wypisane są na listkach roślin.

Niewątpliwie w pierwszych już wiekach świata, zboża zestąpiły z Edenu, na pola uprawne ręką ludzką; później możemy śledzić ich przechodzenie od jednego plemienia do drugiego, ale nie odkryto dotąd miejsca, gdzie niektóre odmiany pierwotnie wyrosły, ani czasu kiedy były raz pierwszy uprawiane. Początek ich pokryty zasłoną tajemniczą, równie jak i początek zwierząt, które towarzyszyły człowiekowi w jego pierwszych wędrówkach. Tradycye i myty wszystkich ludów opowiadają, że człowiek zawdzięcza bogom te ziemskie skarby. W podaniach indyjskich Brahma zstąpił z nieba, aby dać pożywienie ludom swoim. W Egipcie czyni to Izyda, a Grecyi Cerera. Starożytni Peruwianie podobną legendą tłomaczą użycie kukurydzy, posiewali ją na roli świętej, w koło świątyni słońca, o 1200 stóp nad poziomem. Wszakże po za obrębem tych bajek i tych legend, historya uczy nas, że wszelkie zboża pochodzą ze Wschodu. Niektóre myty, wskazują, że się zrodziły na wzgórzach Azyi, gdzie znikły skutkiem podnoszenia się tych gór, w epoce starożytnej.

Nie wszystkie ludy przyczyniły się jednakowo, do rozpowszechnienia tych darów Bożych. Najczynniejszy w tem udział wzięło plemię Aryjskie. Europejczycy w kolei wieków, przesadzili na ziemię własną, rośliny należące wyłącznie do innych plemion. Z Azyi mniejszej i Persyi wzięli migdał, brzoskwinię, morelę; z Chin pomarańczę: z Ameryki kartofel, kukurydzę, zaczęli nawet uprawiać ryż i bawełnę, na brzegach morza Śródziemnego. Później rozprowadzili po koloniach rośliny, uprawiane w własnym kraju. Znajdujemy też we wszystkich częściach Ameryki, zboża europejskie. Zasadzono winnice na Maderze i wyspach Kanaryjskich, w Afryce i w południowych stronach Ameryki, ryż i bawełna, kwitną dziś w Brazylii i Stanach Zjednoczonych. Gałka muszkatołowa i goździk, znalazły odpowiedni grunt na całym archipelagu Indyi Zachodnich. Herbata uprawiana w Brazylii, w Indyach i na Jawie.

Widzimy ztąd, że plemię Aryjskie głównie przyczyniło się do rozwoju agronomii, inne plemiona, z natury swej pasterskie i koczownicze mały w tem wzięły udział. Arabowie tylko rozpowszechnili kawę, cukier, daktyle i uprawę bawełny; ta ostatnia za czasów starożytnych istniała wyłącznie w Indyach wschodnich, zkąd przeszła do Egiptu. Chińczyki sprowadzili bawełnę z Hindostanu; Japończyki herbatę z Azyi przenieśli na swe wyspy.

Z pomiędzy zbóż, niewątpliwie pszenica i jęczmień nasamprzód weszły do Europy. Znaleziono wielkie zapasy tych ziarn pod gruzami Pompei, a na murach tego milczącego miasta, malarze nakreślili chmary słomek, jak dziobią kłosy jęczmienia.

W Biblii, w Homerze, w Herodocie, zboża te częstokroć wspominane. Djodor z Sycylii, mówi o jakichś kłosach, rosnących bez uprawy, na polach leontyńskich, i w innych stronach Sycylii, ale i starożytność nie określa pochodzenia tych roślin. Wyprowadzają je zwykle z Indyi. Humboldt czyni uwagę, że sądząc z rozmaitości ziarn jakie tam pozostały, można wnosić, iż wszelkie zboża były tam od wieków uprawiane.

Hiszpanie posiali pszenicę w Ameryce. Niewolnik murzyn, należący do Korteza, rzucił pierwszy na ziemię nowej Hiszpanii, trzy ziarna pszeniczne, znalezione w pośród zapasów ryżu, przygotowanych dla armii. W Quito, w klasztorze Franciszkanów, zachowują dotąd glinianą missę, z której żeglarz Flamandczyk dobył pierwsze ziarna zboża, jakie widziano w tych strefach i zasiał je przed mieszkaniem swojem, w miejscu drzew wytrzebionych. Jęczmień, którym bohaterowie Homera paśli konie, najwięcej ze wszystkich ziarn rozpowszechniony w świecie. Uprawiają go na północnych krańcach Laponii i na wzgórzach najbliższych równika.

Wprowadzenie żyta odnosi się do czasów późniejszych. Pliniusz twierdzi, że przynieśli je kupcy z Taurydy. Za czasów jego, posiewano żyto w okolicach Turynu. Wendowie serbscy, wprowadzili je w siódmym wieku do Germanii, Karol Wielki poznał odrazu jego wartość i zalecał uprawę. Ta roślina upowszechniła się wkrótce na stałym lądzie i dziś karmi trzecią część jego ludności. Zrazu mniemano, że rośnie w stanie dzikim na Kaukazie, ale nowe badania pokazały tam inną roślinę, braną mylnie za żyto. Później jeszcze wprowadzono owies do Europy. Podczas gdy Grecy, spasali go bydłem w stanie trawy, Germanie, jak mówi Pliniusz, karmili się już jego ziarnem.

(D. c. n.)

SEN.

(Z Lermontowa.)

Daleko tam, w dolinie Dagestanu,
Leżałem ja, ból żyły moje darł,
Zraniona pierś dymiła świeżą raną,
Strugę mej krwi pił słońca żarki skwar.

Leżałem sam na piasku gorejącym,
Urwiska skał ciągnęły się wkrąg mnie,
Słoneczny żar w skroń moją tchem gorącym
Zjadliwie wiał. . jam w martwym leżał śnie.

I słodki sen w ojczystą niósł mnie stronę —
Tam świetny bal, szept dziewic szczęściem drgał,
Ah! imię me, wśród szeptów wyrzeczone,
Zwiał z serc i z ust namiętny pląsów szał.

Lecz było tam śród dziewic dziewczę cudne,
Na śnieżną pierś schyliło bladą skroń,
A duszę jej marzenie snówułudne,
Rzuciło w dal, w zadumy sennej toń!

I śnił się jej w dolinie Dagestanu
Znajomy trup... ból czarne spiął mu brwi,
Zraniona pierś dymiła świeżą raną,
A słońca żar ssał strugę jego krwi.

A. Maszewski.

MAGDALENA

POWIEŚĆ

Pani CARO.

Przełożona z francuzkiego na język polski

przez

P. LUDWIKĘ ROUHER.

(Dalszy ciąg.)

III.

Nie chcę szeroko opowiadać o dniach następnych. Przygotowania wyprawy, którą się zajmowałam, dawały mi pozory do oddalenia się i zostawiania narzeczonych samych.

Pod moim kierunkiem urządzano ich pomieszkanie i zajmowałam się wszystkiemi szczegółami z macierzyńską troskliwością.

Mój wuj wydawał nie rachując, mogłam zatem urządzać wszystko z największą wytwornością. Nic nie zdawało mi się dla nich dosyć pięknem, dosyć eleganckiem i harmonijnem ale często, w pośród robotników oczekujących na moje rozkazy i wypełniających takowe natychmiast, czułam gorzkie łzy w moich oczach. Często także kiedy zmęczona w końcu dnia, szłam do Ludwiki i Roberta aby odpocząć, boleśnie ściskało się moje serce widząc ich nachylonych ku sobie i rozmawiających pół głosem. A jednak Robert nie udawał namiętności, której bezwątpienia jeszcze nie miał w sercu, ale okazywał Ludwice szczerą i pobłażającą przyjaźń, a ona była szczęśliwa. W niewinności i naiwności swojej nie rozumiała, że prawdziwa miłość przemawia innym językiem. Co do mnie,

starałam się zwalczyć słabość, która opanowywała mnie od czasu do czasu. Chciałam ją ukryć przed sobą samą. Pomiędzy Robertem i mną wszystko było już zapomniane. Stosunki nasze pozostały przyjacielskie i naturalne.

Ślub był oznaczony na dwudziestego lipca. Oczekiwałam niecierpliwie tej chwili bo sądziłam, że odzyskam spokój skoro wszystko będzie stanowczo skończone.

Dzień wesela przyszedł nakoniec. Ubrałam sama Ludwikę, ustroiłam ją w białą suknię okrytą koronkami, włożyłam na głowę wieniec z kwiatów pomarańczowych. Nigdy nie widziałam ją tak piękną. Pojechaliśmy do kościoła. Nie mogę opisać co wycierpiałam podczas religijnego obrządku. Mowa ludzka nie może wyrazić podobnej tortury: gorączkowa egzaltacya, która powstrzymywała mnie, aż do tej chwili opuściła mnie nagle i znalazłam się naraz wobec strasznej rzeczywistości. Robert stał tuż obok mnie, kochałam go i był na zawsze dla mnie stracony. Niewzruszony jego spokój i pogodne czoło gniewały mnie. Chciałabym była spostrzedz choć lekki ślad zwątpienia choć chwilowo cień żalu, gniewało mnie, że Ludwika nie zdawała się rozumiéć ofiary, którą spełniłam dla niej.

Oskarżałam cały świat, myślałam że niebo nie dozwoli dokonania takiego ślubu i wzywałam o pomoc nadprzyrodzoną siłę, klęczałam z twarzą ukrytą w dłoniach i można było sądzić, że modliłam się, gdy przeciwnie wszystkie władze mojej istoty wrzały pod wpływem rozpaczy i oburzenia a jednak ślub zawartym został pobłogosławiony przez księdza w pośród ogólnej radości.

Bóg nie sprzeciwił się, słońce jak dawniej rzucało na nas błyszczące promienie i nikt nie domyślił się mojego cierpienia. Reszta dnia upłynęła na przygotowaniach do balu, który miał się odbyć wieczorem.

Pomimo upału i spóźnionej pory, Ludwika chciała zgromadzić wokoło siebie wszystkie swoje przyjaciółki, zaproszenia więc były liczne. Dom i ogród wspaniale oświetlono. Ludwika wyglądaprześlicznie, okryta dyamentami błyszczała jakimś nadziemskim blaskiem.

Pozostało mi niejasne wspomnienie tego wieczoru. Przechodziłam nieprzytomna pomiędzy zgromadzonemi gośćmi, nie widząc nic, nie myśląc nawet, czułam w głowie nieznośny ciężar. Na końcu balu nie mając już sił, ukryłam się w tymże samym buduarze, w którym Robert wyznał mi kiedyś swoją miłość i na wpół okryta wielkiemi wazonami kwiatów, zapomniana od wszystkich, w pośród wesołego gwaru balowego przypominałam sobie te nieszczęsną dla mnie chwilę.

Jakaż szalona nadzieja rozkołysała wówczas moją duszę? Prawdaż to, że dziś wszystko już stracone, stracone bez powrotnie i to z własnej mojej woli?

Zaczęło mi się mącić w głowie, wszystko co mnie otaczało przybrało żałobne barwy, a walc który porywał szalonym wirem młode i wesołe pary, dźwięczał w moim mózgu jak pieśń pogrzebowa. Pulsa moje biły gwałtownie, w uszach tętniły głosy tysiących dzwonów, w pomroce, która roztoczyła się przed mojemi oczyma, spostrzegłam wuja, który widocznie szukał mnie. Chciałam pójść naprzeciw niego ale nie byłam wstanie powstać i dopiero oparłszy się na jego ramieniu zdołałam podnieść się z krzesła.

— Co ci jest moja kochana — rzekł serdecznie — wydajesz mi się cierpiącą, jesteś zmęczoną nieprawdaż?

— O tak, bardzo zmęczoną — wyrzekłam, nie zdając sobie sprawy ze słów moich.

— Trzeba odpocząć Magdaleno, siły twoje są wyczerpane, ale mozolny ten dzień kończy się a dzięki Bogu, wszystko odbywa się dobrze, teraz będziemy myśléć o tobie, kochana. Byłaś tak dobrą, prawdziwie godną uwielbienia, oddałaś nam wielkie przysługi, Bóg pobłogosławi cię moje dziecko a stary twój wuj obecnie poświęci się dla twojego szczęścia.

Zdawało mi się, że umieram

— Słuchaj — dodał półgłosem — Ludwika także jest zmęczona biedaczka. Chodź zatem moja Magdaleno i raz jeszcze zastąp jej matkę i zaprowadź ją do przeznaczonych dla nich apartamentów.

Nie mogłam odpowiedziéć, ale znalazłam jeszcze siły, aby być posłuszną. Zawołałam na Ludwikę i poszłam z nią, aż do progu jej mieszkania, ale tam niezwyciężona siła zatrzymała mnie. Chciałam, aby wstąpiła sama do tego królestwa, które wyłącznie miało do niej należéć. Nic co należało do mnie nie powinno było tam przeniknąć nic nawet zapach mego bukietu. Pocałowałam ją i uciekłam do mego pokoju, gdzie padłam zemdlona.

W nocy wywiązała się ciężka choroba i przez kilka tygodni byłam bliską śmierci. Straciłam zupełnie przytomność a w rzadkich chwilach takowej, trwoga, że zdradziłam moją tajemnicę prześladowała mnie.

Mój wuj i Ludwika byli zawsze przy mnie, widziałam ich w głowach łóżka, badających postęp choroby. Dwa lub trzy razy zdawało mi się także, że widziałam Roberta. Dostrzegając wlepione we mnie niespokojne ich oczy, zamiast wdzięczności, gniewała mnie zbyt wielka liczba świadków w czasie maligny.

Żal i łzy tych, którzy mnie otaczali nie wzruszały mnie, widocznie byłam w niebezpieczeństwie, co wcale nie obchodziło mnie, grożąca śmierć nie wzbudzała ani radości ani smutku. W tych ostatnich prawie chwilach jedna myśl tylko tkwiła w mojej głowie, myśl, że kochałam Roberta i zmuszona byłam ukryć tę miłość na zawsze.

Choroba zmniejszyła się, ale bojaźń, że zdradziłam się słowami, była dla mnie nieznośną. Zapytywałam wszystkich, którzy mnie otaczali, nadewszystko obserwowałam swego wuja i Ludwikę, sądząc zawsze, że spotkam na ich twarzach niezwyczajny jakiś wyraz. Zaczynałam na nowo i bez końca moje badania z chytrością i uporem właściwym osobom owładniętym wyłączną myślą. Drodzy moi nierozumieli dziwnej tej niespokojności, odpowiadali jednak z niewyczerpaną uprzejmością przypuszczając, że gorączka jest jedynym powodem osłabienia mego umysłu. Nadaremnie wypytywałam kiedy byli razem, lub każdego z osobna, roztrząsałam starannie ich odpowiedzi, szukałam sprzeczności w ich słowach, nic nie mogłam wynaleźć i powoli uspokoiłam się.

Przekonanie to przyspieszyło wyzdrowienie, używałam nakoniec słodyczy powrotu do życia, tego nieporównanego i miłego stanu, znanego tylko tym, którzy wydobyli się z zimnych uścisków śmierci.

Kiedy nareszcie mogłam powstać, lekarze poradzili wyjazd na wieś. Byliśmy w miesiącu wrześniu, czas był ciepły i łagodny kiedy wyjeżdżaliśmy do „Ville Venny". Mój wuj lękając się aby kolej żelazna nie zmęczyła mnie zanadto, posłał mnie z Ludwiką powozem. On sam, zatrzymany przez interesa nie mógł wyjechać aż nazajutrz. Robert wyprzedził nas rano. Przybywszy wieczorem zastałyśmy go czekającego przed domem, pomógł mi wysiąść z powozu i zaprowadził do przeznaczonych dla mnie pokoi.

Stosownie do jego rozkazów stół był nakryty w saloniku poprzedzającym moją sypialnię. Liczne świece zapalone w kandelabrach rzucały jasne promienie i dawały świąteczny pozór mieszkaniu.

Uważałam, że wszystkie wazony i kosze były napełnione mojemi ulubionemi kwiatami i że książki, które czytywałam zwyczajnie, położono na stoliku obok mego szezlongu. Przyniesiono wieczerzę.

Robert i Ludwika odesławszy służących usługiwali mi sami, przewidując wszystkie moje życzenie i oszczędzając najmniejszej fatygi. Zachowałam najmilsze wspomnienie tego wieczoru. Nie mogłam zdecydować się rozstać z moimi przyjaciołmi i udać na spoczynek, zatrzymywałam ich usilnie jak dziecko zepsute. Tuliłam się do Ludwiki, wymyślałam tysiące pozorów, aby zostać jeszcze, nakoniec trzeba było rozłączyć się.

Kilka tygodni upłynęło w tym stanie. Osłabienie zmniejszyło polot myśli i zatarło nieco wspomnienie. Powoli, jednak wróciły siły a z niemi przykre uczucie goryczy mojego życia. Spojrzałam bacznie naokoło siebie a przedewszystkiem na Roberta i Ludwikę, wydali mi się zupełnie szczęśliwi.

Chciałam cieszyć się, lecz po większej części zniewoloną byłam staczać ciężką walkę ze strasznem zniechęceniem zatruwającem mi życie. W tym usposobieniu wróciłam do Paryża, Ludwika i Robert, oboje młodzi, piękni, poszukiwani byli przez cały świat elegancki. Każdego wieczoru nowe zabawy i uroczystości wyrywały ich z kółka rodzinnego. W początku chciałam im towarzyszyć ale wkrótce to huczne lecz czcze życie zmęczyło mnie nie bawiąc. Zaniechałam je też prędko, pod pozorem złego stanu zdrowia zostając w domu z wujem, podczas kiedy Ludwika i Robert błyszczeli codzień na świetnych wieczorach, w ten sposób, uporczywie zatopiona w smutnych myślach przepędzałam całą zimę.

Zmieniony stan zdrowia przestraszył otaczające mnie osoby. Wszyscy podwoili starania ale źródło złego było nieznane i dawane dowody życzliwości nie przyniosły mi ulgi.

Wróciła wiosna zamykały się salony jedne po drugich. Za to odrodzona natura przyciągała znowu niestałych swych gości. Ja tylko nie zmieniłam się. Prawda, że chodziłam, przepędzałam czas jak zwyczajnie, zajmowałam się, uśmiechałam nawet, ale czyniłam to wszystko machinalnie. Fizyczne moje siły odrodziły się w ciszy i spokoju wonnych pól, pod wpływem świeżego i orzeźwiającego powietrza, ale moralna istota była jakby zatraconą, nadaremnie walcząc z tajemną namiętnością. Będące na spodzie naszej duszy samolubstwo, stawało się codzień silniejszem a coraz słabiej zwalczane wywierało wpływ szkodliwy na siłę mej woli.

Niegdyś czułam prawdziwą rozkosz w milczeniu poświęcając się dla Ludwiki, a dziś nikczemny żal zawładnął mojem sercem.

Pycha tylko została we mnie a chwili kiedy uczułam, że i ta mnie opuszcza, zrozumiałam przerażona, do jakiego stopnia moralnego upadku zeszłam stopniowo.

IV.

Pewnego dnia, odbyłam dosyć długą przejażdżkę konno wraz z Ludwiką i Robertem.

Wracaliśmy powoli, pozwoliłam im wyprzedzić się i pozostałam kilka kroków po za niemi. Oddawna już sądziłam, że Robert po chwilowej miłości znienawidził mnie, gdyż widocznie mnie unikał. Kilka razy spostrzegłam wzrok jego zwrócony ku mnie z wyrazem tak ponurym, że przelękłam się, ale natychmiast jakby z gniewem odwrócił oczy. Zdawało mi się zresztą, że był serdeczniejszy i więcej wylany z żoną, dając jej coraz więcej dowodów przywiązania. Umyślnie więc pozostałam z tyłu, chcąc unikać go tak jak on ode mnie stronił. Aby wjechać do parku trzeba było przebyć wązki mostek, wysoko wzniesiony po nad koleją żelazną.

Robert i Ludwika przejechali spokojnie most, chciałam ich naśladować, kiedy mój koń, zapewne przerażony świstem zbliżającego się pociągu, odskoczył na bok. Starałam się uspokoić go i zmusić do ruszenia naprzód, ale stawał dęba, rzucając się nad brzegiem mostu i niewątpliwie byłabym upadła, gdyby Robert nie przybiegł i chwytając konia za cugle, nie zatrzymał go silną dłonią. Wyraz jego twarzy zrobił na mnie silne wrażenie, zbladł i usta jego drżały jakby pod wpływem gniewu:

— Rzeczywiście — rzekł porywczo — możnaby sądzić, że chcesz zabić się i że przerażanie nas sprawia ci przyjemność.

Nic nie odpowiadając, uderzyłam konia, który dwoma skokami przebiegł most.

Ludwika przestraszona i nieruchoma czekała na mnie, łagodnie łajała mnie, wyrzucając nieroztropność.

— Jesteś prawdziwe dziecko — rzekłam niecierpliwie. — Wiesz, że nigdy jeszcze nie spadłam z konia, zostaw drugim te śmieszne o to obawy.

Robert usłyszał te słowa, ale nie dodał nic i wróciliśmy milcząc do domu.

Wieczorem kilku sąsiadów było u nas na obiedzie i przypominam sobie, że mówili o skandalicznym wypadku, który zajmował wówczas cały świat paryzki. Młoda piękna i bogata kobieta, należąca do jednej z najznakomitszych rodzin, porzuciwszy dom uciekła z kochankiem. Szalony gniew oszukanego męża, rozpacz rodziny, tryumf jej nieprzyjaciół, wszystko to opowiadano z licznemi szczegółami. Dawniej znaliśmy tę kobietę, a chociaż od pewnego czasu straciliśmy ją z oczu, dramat ten zarazem pospolity i straszny zrobił na nas bolesne wrażenie. Co zwiększało upadek Karoliny de L. to, że była matką, miała bowiem córeczkę kilkomiesięczną, której niewinny uśmiech nie był dość silnym, aby zatrzymać ją na brzegu przepaści. To też ze wszystkich stron odzywały się potępiające głosy. Ludwika sama zaledwie ośmielała się bronić ją. Co do mnie milczałam. Upokorzona tajemną moją słabością, nie miałam odwagi aby sądzić drugich.

Słuchałam wszystkich tych oburzonych głosów i zazdrościłam spokoju sumienia, który dawał prawo tym kobietom sądzić i wydawać wyrok. Powoli przedmiot rozmowy zmienił się jak zwykle bywa w podobnych okolicznościach i rozpoczęła się wielka rozprawa o małżeństwie.

Kilku panów twierdziło, że jest to instytucya przeciw naturze, prawie niemoralna, albowiem upokarza duszę człowieka ograniczając jej wolność. Kobiety a zwłaszcza Ludwika broniły zywo przeciwnego zdania. Wszystkie oklepane rozumowania, zwykłe w tym rodzaju sprzeczki zostały powtórzone przez obie strony. Prawdziwe poczucie godności, mówili jedni, znajduje się tylko w wolnym związku dwóch istot przywiązanych do siebie idealnym węzłem wzajemnej miłości.

Co się zaś tyczy tych zwyczajnych małżonków, poddających się niechętnie sile konieczności i obrażających częstokroć potajemnie obowiązki, które prawo im nakazuje, nie zasługują na żadne poszanowanie, są śmieszni i nic więcej.

— Jakto! — zawołała Ludwika — czy nie widzicie panowie żadnej wielkości w tej śmiałej przysiędze, którą obiecujemy, kochać całe życie, kochać wiecznie nie obliczając nic, nie przypuszczając nawet zmiany? Czy nie jest to szlachetniejsze, godniejsze poszanowania nad tę podłą przezorność, którą tak mądrze oblicza przypadkową niestałość?

— Kochane moje dziecko—odpowiedział uśmiechając się pan de Chervière, jeden z naszych przyjaciół — któż może szczerze obiecać, że nigdy nie zmieni się? Jest to samo, jak gdybyśmy chcieli przysiądź, że nigdy nie zestarzejemy się.

— Co pan myśli o tem panie Wall? — zapytała nagle pani de Briare.

Robert, który aż do tej chwili nie mieszał się do rozmowy, zadrżał silnie, słysząc to zapytanie.

Wzruszona z niecierpliwością czekałam jego odpowiedzi.

— Myślałem zawsze — rzekł wreszcie po krótkim wahaniu — że na świecie jest tylko jedna wielka i prawdziwa rzecz, to jest miłość. Szczęśliwi są ci, którzy kochając mogą się połączyć według prawa społeczeństwa. Jest to idealne marzenie urzeczywistnione, ale szczęśliwi są także i ci, którzy umieją kochać pomimo przeszkód, pomimo niemożliwości i urojonych praw moralnych. Prawdą jest miłość, wobec niej wszystkie inne względy są przesądem—i zwracając się ku żonie, rzekł: — Czyż sądzisz, że kochałbym cię mniej, moja droga i miałbym mniej dla ciebie szacunku, gdybyś poświęciła rodzinę, honor i spokój dla mnie? Gdybyś potępiona przez wszystkich, rzuciła się odważnie z ufnością w moje objęcia, czy sądzisz Ludwiko, że byłabyś mniej drogą dla mnie?

— Wiesz Robercie — rzekł uśmiechając się mój wuj—że nie radziłbym ci tego rodzaju zasad moralnych wpajać w umysły twoich synów.

— Moi synowie dojdą sami do tego przekonania, nawet, gdyby zestarzała moja wówczas mądrość przemawiała innym językiem, jeżeli zechcę szczerze wyrazić swe uczucia, powtórzą z pewnością dzisiejsze moje słowa.

— Jeżeli będą szczerzy — rzekłam pomimowolnie — jeżeli znajdą dosyć odwagi, aby patrzeć w siebie i około siebie, poznają prędko, że miłość jest tylko marzeniem życia lub raczej wieczystem jego kłamstwem i gdyby kiedy było mi dozwolonem prowadzić twoich synów Robercie, powiedziałabym im: nie wierzcie w miłość ale pozwólcie innym wierzyć w nią: nie dajcie swojego serca lecz kołyszcie niewinne dusze słowami bez znaczenia. Odgrywajcie bez wyrzutów sumienia wieczystą komedyą namiętności, przysięgajcie dziś tak samo jak przysięgaliście wczoraj, zachowujcie z przeszłości tylko wspomnienie dla tych, którzy je gorzko zapłacą łzami a niekiedy i całem swojem życiem.

— Wielki Boże, co za tyrada — zawołał mój wuj, uśmiechając się.

— Moja kochana—rzekła pani de Chervières— teorya ta nie jest nową, można ją spotkać we wszystkich złych romansach a właściwie wyszła już z mody, zwłaszcza też dla tak pięknych, różowych ust jak twoje.

(D. c. n.)

OSTATNI Z RODU.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

Skreślił

Władysław Kor. Zieliński.

(Dokończenie.)

Maj dobiegał już końca, wiosna w całej pełni rozkwitu swego różnobarwną a wonną sukienką swą przystroiła całą naturę. Lasy wiankiem okalające rozległą równinę roztaczającą się w około Łańcuckiego zamku, przyodziane cudowną zielenią, słały ku ponurym zamkowym murom balsamiczną woń swoją. Pola zieleniły się szmaragdową barwą, jak miękka turecka tkanina, upstrzona różnobarwnem kwieciem. Skowronek wysoko pod stropami niebios błękitu unosząc się, donośną piersią nucił hymn dziękczynny Bogu a słowik ukryty w cieniu lipowego szpaleru, wywodził rozkoszne pienia miłości! Ziemia, niebo, natura cała oddychała radością, swobodą, Małgosia tylko siedząc obok Zośki na stoku zewnętrznych wałów, oczyma zalanemi łzami smutnie w dal patrzyła.

Nagle z zadumy tej wyrwał ją szmer zbliżających się kroków, po drodze prowadzącej od strony Przeworska. Małgosia jakby dziwnym jakiemś przeczuciem tknięta, podniosła w smętnej zadumie pochyloną głowę i tuż po za rowem otaczającym wał na którym siedziała, ujrzała człowieka mającego pozór żebraka, a który spostrzegłszy Małgosię stanął jakby z kamienia wykuty. Kaptur osłaniający twarz jego, obsunął się i Małgosia wpatrując się w rysy podróżnego, przypominać sobie poczęła gdzie go widziała.

Podróżnym owym był Powała, który na pierwszy rzut oka poznał Małgosię, a ochłonąwszy nieco z wrażenia jakiego doznał ujrzawszy poszukiwaną, podsunął się na sam brzeg rowu i na wpół tłumionym głosem zawołał:

— Niech będzie pochwalone Imię Pańskie! czy wzrok mnie nie myli? Wyście to Małgosia Żędzianówna?

— Nie mylicie się,—odparła drżącym ze wzruszenia głosem zapytana — lecz czyż i ja się nie mylę poznając w was Michała Powałę? Mówcie śmiało, towarzyszka moja, to również ofiara mej niedoli!

— Tak, nie mylicie się! — zawołał radośnie Powała — nareszcie znalazłem was i teraz będę mógł dopełnić danego słowa dostojnemu panu memu! Bez was powrócić nie mogę!

— O mówcie pierw, — zawołała Małgosia promieniejąc radością — mówcie co się tam dzieje, co porabia mój ojciec?

— Bądźcie dobrej myśli, — odparł Powała, który dawno już wiedział o śmierci Żędziana. — Ani czas, ni miejsce, bym mógł wam wszystko opowiedzieć, tembardziej, że szukając wiele, bar-

dzo wiele mam do powiedzenia. Ale powiedzcie, jak mógłbym się dostać do zamku?

— Teraz niepodobieństwem jest, — odrzekła Zośka — lecz gdy noc zapadać pocznie, przyjdźcie do wrót zamkowych i zażądajcie widzenia się z burgrabią, którego poproście o schronienie na noc. Przedstawcie mu się tylko jako podróżny predykant dążący do Rakowa, a moją rzeczą już będzie, by Małgosia z wami rozmówić się mogła. Idźcie teraz, idźcie, bo zobaczyć was lub też podsłuchać kto może!

Powała naciągnąwszy kaptur na oczy, raźniejszym niż pierwej krokiem podążył ku Łańcutowi, Małgosia zaś płacząc z radości rzuciła się w objęcia Zośki, w sercu której dawno już kiełkująca nadzieja odzyskania wolności odżyła.

Nieskończenie długim dzień ten wydawał się nieszczęśliwym kobietom, które zapadający zmrok z wielką powitały radością. Z nadejściem nocy, postępując wedle danej wskazówki, Powała stanął u wrót zamkowych i niebawem obok Vrchlika zasiadł przy obficie jadłem i napojami zastawionym stole.

Około północy Vrchlik, niczego nie domyślając się, dzięki przezorności z jaką utrzymał się Powała w przyjętej na się roli predykanta, zaprowadził go do jednej z izb gościnnych przypierających do baszty zajmowanej przez Małgosię i Zośkę, która ukryta w cieniu krużganku pilnie śledziła Powałę i Vrchlika. Po oddaleniu się burgrabiego i gdy zamek cały głuche zaległo milczenie, Zośka, ostrożnie uchyliwszy drzwi izby w której Powała się znajdował, wezwała go by szedł za nią.

Świtać już poczynało, gdy Powała opowiedziawszy wszystko co zaszło w Lublinie od czasu porwania Małgosi, zamilczając jedynie o śmierci jej ojca, jako też powiedziawszy, iż z polecenia księcia Jana przedsięwziął te poszukiwania, aby obydwom kobietom dopomódz do ucieczki, poszedł się na spoczynek.

Dnia następnego, udając wielce znużonego odbytą podróżą i korzystając z zaproszenia Vrchlika, pozostał dzień cały na zamku, z nadejściem zaś nocy i gdy wszyscy głębokim snem ujęci byli, z izby swej wyszedł, i idąc za wskazówką daną przez Zośkę, dostał się do ogrodu, gdzie na narożniku północnego wału oczekiwały go Zośka wraz z Małgosią gotowe do drogi.

Przy pomocy sznurów przyniesionych przez Zośkę, tak Powała jako też i obie kobiety spuścili się do rowu, wydostawszy się na drogę okalającą zamek, Małgosia wraz z Zośką podążyły w kierunku Wojutycz, należących do Łukasza Opalińskiego, a gdzie zaopatrzone pisaniem Powały i przeora Buczackiego, szukać miały schronienia czekając na przybycie swego wybawiciela, który celem odwrócenia od siebie wszelkiej poszlaki nazad przez rów i wał powrócił do zamku.

Dnia następnego Powała równo ze świtem, pożegnawszy Vrchlika, puścił się w drogę, obiecując dobrodusznemu burgrabi, że wracając z Rakowa, nieomieszka go odwiedzić i przynieść mu parę ksiąg wydanych w tamtejszej oficynie. Około południa Powała stanął szczęśliwie w Wojutyczach, a powitany radośnie przez oczekujące go kobiety, nocą jeszcze wraz z niemi pod osłoną kilku zbrojnych dworzan na Leżajsk do Krzeszowa podążył. Tu czując się już bezpiecznymi, pożegnawszy towarzyszących dworzan i wysławszy gońca z listem do Kraśnika, bez zwłoki czasu pociągnęli ku Lublinowi, gdzie też dnia następnego stanąć mieli pod wieczór.

* * *

W ciągu tego czasu, gdy Powała przebywał jeszcze w klasztorze Buczackim i gdy dowiedziawszy się o miejscu pobytu Małgosi, do Łańcuta wyruszył, w Kraśniku przebywający książę Jan, pomimo najtroskliwszej opieki małżonki swej Zofii i lekarzy przybyłych z Lublina i z Wilna coraz bardziej podupadał na zdrowiu, niknąc prawie w oczach otaczających go.

Dnia pewnego czując się więcej niż zawsze osłabionym, zawezwać kazał do siebie Żurdę, któremu polecił sporządzić testament, zapisując wszystkie swe dobra jedynej córce najstarszego brata swego Jerzego, małoletniej pod onczas jeszcze Zofii, która pozostając na opiece swej babki, już zaręczoną była z również młodym księciem Januszem Radziwiłłem.

Załatwiwszy tę czynność czując się blizkim końca, odbył spowiedź przed przybyłym z Lublina ks. Adryanem Radzymińskim członkiem zgromadzenia OO. Jezuitów, a zaopatrzony ŚŚ. Sakramentami na drogę wiecznego żywota, uczuł się cośkolwiek lepiej, tak że zabłysła nadzieja, iż książę Jan podźwignie się jeszcze z tej choroby. W dni parę później a było to już 28 maja, gdy przed wschodem słońca, na dziedziniec zamkowy, na spienionym koniu wpadł hajduk Krzeszowickiego podstarościego z listem do księcia, w którym Powała donosił, iż odnalazłszy Małgosię więzioną w Łańcucie, wraz z nią do Lublina podąża. Książę Jan po odczytaniu mu listu tego przez Żurdę, podniósł się nieco na łożu, a westchnąwszy z boleścią szepnął: „Za późno!"

W chwil parę później, wszelka nadzieja utrzymania życia uleciała.

Pierwsze promienie wschodzącego słońca wdarłszy się przez barwne szyby komnaty w której książę Jan na łożu śmiertelnym był złożony, oświetliły nadziemskim blaskiem oblicze konającego i ostatni z rodu książę Jan Siemion Olelkowicz Słucki żyć przestał, gasnąc powoli i spokojnie jak lampa grobowa niezasilana olejem.

Ksiądz Adryan padłszy u stóp klęcznika wśród płaczu pozostałej wdowy, przyjaciół i dworzan, odmawiać począł pośmiertne modlitwy. Z wieżyczki zamkowego kościoła rozlegający się jęk żałobnego dzwonu, tak miastu jak i okolicy oznajmił śmierć dostojnego pana. Tłumnie też gromadzić się poczęli mieszczanie i kmiecie, aby raz jeszcze ujrzeć i pożegnać zacnego i poczciwego pana, który był dla nich ojcem i dobrodziejem.

Żurda wraz z Andrzejem Koźlą, burgrabią zamkowym, rozesłali niezwłocznie listy donoszące o zgonie księcia, a tak w kościele farnym i św. Ducha w Kraśniku, jako też i w kościołku zamkowym, odbywać się poczęły nabożeństwa żałobne. Wieczorem zaś dnia następnego zabalsamowano ciało zmarłego, wśród niezmiernych tłumów ludu, szlachty i kilku dygnitarzy przeniesiono z zamku do kościoła farnego, zkąd nazajutrz, czyniąc zadosyć życzeniu zmarłego, przewieźć je miano do Lublina, by złożyć je obok ojca i brata, w niezupełnie jeszcze wykończonym kościele OO. Jezuitów.

Po odbyciu solennych egzekwii w dniu oznaczonym zwłoki księcia Jana wyniesione z kościoła, spoczęły na bogato przystrojonym rydwanie, który otoczony przyjaciołmi, dworzanami i tłumem ludu, poprzedzony przez ks. Archidiakona Lubelskiego, przełożonych Kraśnickiego zakonu kanoników regularnych, OO. Dominikanów, Bernardynów i licznego duchowieństwa, ruszył w drogę ku Lublinowi. Za rydwanem ciągnął się długi bardzo szereg kolas, kolebek, brożków, taradejek i wozów prostych. Księżna wdowa dniem wprzódy w towarzystwie kilku poważnych matron, wyjechała do Lublina by tam u wrót wiecznego spoczynku przyjąć zwłoki ukochanego męża.

Na wiadomość o śmierci księcia Jana, dobiegłą do Lublina, OO. Jezuici pomimo, że świątynia ich jeszcze zupełnie ukończoną nie była, przystąpili do wspaniałego przyozdobienia jej na tę żałobną uroczystość. Ściany całej świątyni pokryte kirem, ołtarz wielki będący na wykończeniu przystrojono w zieleń i różnobarwne kwiecie a u wejścia do części kapłańskiej, w nawie głównej ustawiono wyniosły i purpurą okryty katafalk, który otoczono niezliczoną ilością grubych świec jarzących.

Nad wieczorem już pochód żałobny zbliżył się pod mury miasta, gdzie nie dochodząc kościoła św. Krzyża położonego po za miastem, przyjęty został przez wszystkie lubelskie duchowieństwo z księdzem Stanisławem Jelitą Gomulińskim pod onczas biskupem Chełmskim, przybyłym umyślnie z Krasnegostawu na ten smutny obrządek.

W gronie oczekujących na zwłoki księcia Jana znajdowali się także: Mikołaj Zebrzydowski wojewoda Lubelski, Piotr Jędrzej Czerny kasztelan Lubelski, Jędrzej Janina Rzeczycki podkomorzy Lubelski, Jan Firlej podskarbi koronny i starosta Lubelski i wielu innych wraz z licznemi pocztami dworzan.

Kondukt pogrzebowy nadciągnąwszy od Konopnicy, przed kościołem św. Krzyża, zatrzymał się na chwilę i ztąd dopiero z całą ostentacyą ruszył ku miastu gdzie we wszystkie bito dzwony.

Przodem tego żałobnego korowodu z wysoko wzniesionym krzyżem postępował Żórawski pisarz miejski Lubelski, otoczony strażą miejską uzbrojoną w halabardy i rusznice.

Tuż za nim kroczyli: owoczesny wójt Lubelski Sebastyan Klonowicz z rajcami, ławnikami i całym składem urzędu miejskiego po za którymi z pękami rózeg i toporkami na ramieniu postępowali pachołkowie. Za nimi szły wszystkie bractwa kościelne i cechy miejskie z rozwiniętemi sztandarami i liczną uzbrojoną czeladzią: dalej posuwało się dwudziestu czterech dworzan zmarłego księcia, ubranych w kaptury i niosących w rękach płonące lane świece, ubodzy w kapach i ze świecami, zakony jak: OO. Dominikanie, Bernardyni, kanonicy regularni, Jezuici, duchowieństwo obrządku greckiego i nakoniec duchowieństwo świeckie łacińskie z biskupem i archidyakonem na czele. Tuż przed rydwanem ciągnionym przez sześć koni i pokrytym czarnym suknem, na którym spoczywała bogato przystrojona trumna kryjąca zwłoki, jechał na koniu Jan z Michałowa Michałowski senior dworzan księcia Jana, cały okuty w czarną zbroję, dzierżący w prawicy długą kopię z proporcem pochyloną ku ziemi i mający na lewem ramieniu zawieszoną tarczę z misternie malowanym herbem zmarłego. Tuż obok tego żałobnego rycerza, postępowało dwoje pacholąt niosących kołczan, łuk i rodele (puklerze). Za rydwanem żałobnym otoczonym dworzanami w kapturach i dzierżących jarzące pochodnie, postępowała pieszo księżna Zofia odziana w szaty wdowie prowadzona przez wojewodę Zebrzydowskiego i Marka Sobieskiego, a tłumy szlachty, mieszczan i kmieci zamykały ten pochód, który wśród bicia

w dzwony i ponurych żałobnych pieni, ze zmierzchem już prawie minąwszy kościół św. Ducha zbliżał się do Korców i wrót kolegium OO. Jezuitów.

W chwili tej, gdy pochód żałobny zbliżał się do kresu swego, od Żmijgroda wąziutką uliczką wjechał wózek zaprzężony w parę koni, a na którym oprócz powożącego znajdowały się dwie kobiety i mężczyzna.

Wózek z podróżnemi, z powodu, że żałobny korowód nadciągnął, zatrzymał się, a podróżni zszedłszy zeń z wielkim podziwem i ciekawością przyglądać się mu poczęli.

— Widać ponoś któregoś z senatorów grzebią,— rzekł przybyły mężczyzna — wieczne odpocznienie racz mu dać Panie!

— A światłość wiekuista niechaj mu świeci po wieki wieków! — dodała młodsza towarzyszka owego mężczyzny, który z dziwnym niepokojem śledził właśnie przesuwający się przed nim szereg dworzan księcia Jana, w pośród których mimo kopic zarzuconych na głowy, zdawał się poznawać towarzyszy.

Niewysłowione jakieś uczucie przestrachu, jakaś myśl złowroga ogarniać go poczęła, to też niemy i z gwałtownie bijącem sercem patrzał na ten pochód żałobny, który powoli wkraczał w szeroko rozwarte podwoje świątyni.

Gdy już ciało wniesiono do kościoła, podróżny wraz z towarzyszkami swemi, a nie był to kto inny tylko Powała z Małgosią i Zośką, wszedł do rzęsiście oświetlonej świątyni. Tu dopiero z niemałem przerażeniem dowiedział się kogo to grzebano!

Ceremonia oddania ostatniej posługi zmarłemu już się rozpoczęła, a po odśpiewaniu przez biskupa *castrum doloris* i zaintonowaniu *Salve regina*, trumnę zdjęto z katafalku i w chwili w której spuszczono ją do grobu, wśród powszechnego płaczu i jęku żałobnych dzwonów, do świątyni wpadł na koniu Michałowski a zatrzymawszy się nad rozwartym grobem i skruszywszy kopię, oraz rozbiwszy tarczę herbową sam z konia na ziemię się powalił.

Małgosia, która dotąd stała nieruchomie, błędnym wodząc wzrokiem po otaczających ją nagle rzuciła się naprzód, a roztrącając otaczających z rozdzierającym krzykiem tuż u wejścia do podziemia padła bez zmysłów!

Wypadek ten, wywołał niemałe wrażenie na obecnych, tembardziej, gdy w zemdlałej poznano dawno zaginioną i za umarłą już mianą Małgosię. Mieszczanie i szlachta, znajomi i obcy rzucili się na jej ratunek i przeniesiono ostrożnie do domu zajmowanego niegdyś przez jej ojca, a gdzie obecnie dr. Felkiel wraz z żoną a siostrą Żędziana przemieszkiwał. Nadbiegli też niezwłocznie Prandota, Dzierżek, Żórawski, Marek Sobieski, Klonowicz i Lichański, pragnąc co rychlej dowiedzieć się o stanie zdrowia nieszczęśliwej jako też i o jej losach.

Dnia następnego dom Żędzianów był jakby w oblężeniu, wiadomość bowiem o powrocie Małgosi wszystkich zaciekawiła i każdy pragnął nieszczęśliwej przyjść ze słowem pociechy.

W dni parę później, gdy Małgosia podniosła się z niemocy, kazała wezwać do siebie Powalę, by mu z głębi duszy podziękować za poniesione trudy i wydobycie z rąk „dyabła".

Powała nadspodziewaną śmiercią księcia Jana wielce dotknięty, oraz dręczony głęboko wkorzenioną miłością ku Małgosi, jak niemniej niepewny jaka przyszłość tak Małgosię, jak i jego samego czeka, blady i wielce zmieniony wszedł do komnaty zajmowanej przez Małgosię, gdzie zastał i Zośkę rozpaczającą przy swej gołąbce.

Małgosia nie mogąc się zdobyć na jakiekolwiek słowa, uściśnieniem ręki podziękowała Powale za wszystko co dla niej uczynił.

Po długiem milczeniu, które żadne z nich przerwać się nie odważyło, Małgosia zapytała Powały co teraz czynić zamierza?

— W rękach waszych, — odparł pytany — przyszłość moja. Powiadacie, iż wdzięczność wasza dla mnie jest bez granic, otóż pozwólcie, że dziś, tak jak niegdyś u furty klasztornej powiem wam to co dusza moja czuje! Kocham cię tak jak dawniej, a widać iż wolą Boga było, aby wszyscy ci co ciebie kochali tę ziemię opuścili i ja jeden ich przeżył. Bądź przeto moją, bądź dozgonną towarzyszką życia mego! Z serdecznego to afektu dla ciebie lat tyle jak żebrak włóczyłem się po kraju i gdym cię odszukał, gdy już nie masz tu nikogo coby cię tak gorąco miłował, coby mógł otoczyć cię swą opieką, nieodmawiaj tej łaski, powierz mi losy swoje!

— Zacny, poczciwy Michale! — odparła Małgosia, wyciągając doń rękę — cóżby wam przyszło z takiej jak ja żony, otoczonej samemi grobami, z uścisków których wydostać się już mi niepodobna? Temu któremu mą miłość zaprzysięgłam, pozostanę wierną aż do ostatniej chwili życia mego! Szanuję was jak brata, jak zbawcę mego i czegóż więcej żądać ode mnie możecie?

— Lecz cóż poczniecie z sobą? — zapytał, odpowiedzią Małgosi pognębiony Powała.

— Pójdę i zamknę się w klasztorze, aby tam służąc Bogu, modlitwą przebłagać winę moją, że umiłowałam tego, który nigdy nie mógł być moim!

— Jakto, wy do klasztoru, aby w nim żywcem zagrzebać się? — zawołał Powała.

— Gdzież znajdę lepszą ochronę, — odrzekła Małgosia — po niedoli jaka mnie dotknęła?

— Ha! widać, że taka była wola Boża, — rzekł Powała — iżbym wyrwawszy was z rąk „dyabła", przyprowadził tu abyście przywdziawszy zakonną sukienkę Bogu służyli. Żegnajcie mi zatem, tam w wyżynach niebieskich ujrzymy się może, ja zaś teraz pójdę w świat daleko, bo całe szczęście moje przy was zostało. Bóg z wami!

— Oh! — zawołała Małgosia — nieodchodźcie tak ode mnie z żalem w sercu! Wybaczcie nieszczęśliwej, nieopuszczajcie mnie jeszcze, przeciwnie proszę was i bądźcie mi drużbą. Bracie, czyż ostatniej prośby siostry spełnić nie zechcesz?

— Czyń co chcesz! spełnię co pragniesz! — zawołał Powała.

W rok później, w sam dzień śmierci księcia Jana, w kościele Panien Brygidek, odbyć się miała dla zakonu wielce radosna uroczystość obłuczyn i włożenia ślubów zakonnych przez jedną z nowicyuszek.

Już od samego rana plac będący przed kościołem i klasztorem, zalegały tłumy pobożnych, pragnących uczestniczyć w uroczystości, na którą z Krasnegostawu zjechał sam biskup chełmski ks. Gomuliński, mający dopełnić ceremonii obłuczyn i przyjęcia do zakonu pp. Brygidek, Małgorzaty Żędzianównej na usilne prośby której termin odbyć się mającego nowicyatu skrócony został.

Wnętrze znanego nam kościoła, zielenią i kwiatami było przyozdobione, tak jak należało na przyjęcie oblubienicy. Duchowieństwo świeckie i zakonne przybrane w bogate szaty kościelne poważnym kołem, otaczało tron, na którym zasiadł biskup prowadzony przez Marka Sobieskiego już kasztelana Lubelskiego i Mikołaja Spytka Ligęze kasztelana Czechowskiego szwagra zmarłego księcia Jana, który na tę uroczystość umyślnie zjechał do Lublina. Bractwa kościelne, cechy, oraz wójt z burmistrzem, radnymi i ławnikami, dalej mnoga ilość braci szlachty i moc nieprzeliczona mieszczan i pospólstwa zapełniało całą świątynię. Po odprawieniu modłów i po odśpiewaniu wigilii, za danym znakiem przez biskupa, drzwi prowadzące na korytarze klasztorne rozwarły się szeroko i na ich progu ukazała się Małgosia w ślubnym stroju z rucianym wiankiem i fałdzistym welonem na głowie. Klonowicz i Michał Powała oczekujący jej ukazania się, ujàwszy nadchodzącą pod ręce, poprowadzili przed wielki ołtarz gdzie już biskup przybycia jej oczekiwał. Tuż za Małgosią i prowadzącymi ją z krzyżem na czele, długim szeregiem postępowały parami panny Zakonne, za któremi z pozłocistym pastorałem w ręce i bogatym złotym brylantami sadzonym krzyżem na piersiach, poważnie kroczyła ksieni zakonu. Gdy pochód cały wśród uroczyście rozbrzmiewającej pieśni *Veni Creator* zbliżył się do biskupa, tenże niezwłocznie przystąpił do dopełnienia ceremoniałem przepisanych obłuczyn, i odebrania od nowicyuszki ślubów zakonnych, co gdy dopełnione zostało, Małgosia przyodziana już w suknię zakonną u stóp ołtarza legła krzyżem, a gdy biskup odczytywał rytuałem przepisane modlitwy, dwie zakonnice przykryły leżącą całunem i wtedy rozległ się ponury śpiew zakonnic: *„De profundis"*.

Po odśpiewaniu chorału i litanii, zakonnice podniosłszy we łzach tonącą profeskę, teraz już siostrę Teresę i wśród hymnu: *„Salve Regina"* zaintonowanego przez biskupa, odprowadziły ją do furty klasztornej, przy której niemym skinieniem ręki pożegnała Powałę i przyjaciół.

Z trzaskiem zamykająca się furta za Małgosią, oddzieliła ją na zawsze od świata.

Wraz z Małgosią i Zośka jako siostra służebna, przyjęła na siebie habit zakonny.

Powała po dokonanych ślubach Małgosi, opuścił niezwłocznie Lublin, śpiesząc na dwór księcia Krzysztofa Radziwiłła z którym r. 1608 udał się na wyprawę Inflancką i tu walcząc przeciw najezdniczym Szwedom, w czasie walnej a zwycięzkiej bitwy pod Dyamentem poległ śmiercią walecznych.

KONIEC.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Lange Fryderyk Albert. Historya filozofii materyalistycznej i jej znaczenie w teraźniejszości. Przekład z niemieckiego. Tom I. Warszawa, 1881 r. przełożył A. Świętochowski. Tom II, Warszawa 1881 r. przełożył F. Jezierski.

Dzieło powyższe, które pojawiło się od r. 1865 już w czwartem wydaniu tem samem zasługuje na zwrócenie uwagi ogółu na siebie tembardziej jeżeli nadto przełożone zostało na języki francuzki i angielski, budząc wielkie zajęcie między uczonymi i chcącymi poznać historyę filozofii materyalistycznej. Rozczytawszy się w pracy niemieckiego uczonego, przychodzimy do tego przekonania, że pomimo iż nie zgadzamy się we wszystkich poglą-

dach i twierdzeniach autora jak to zwykle bywa we wszystkich systematach filozoficznych, bezwarunkowo przyznających sobie prawdę, to jednak przyznać musimy, że praca jego wielce jest interesująca i wcale nie tuzinkowo dokonana. Historya materyalizmu składa się z dwóch ksiąg. Pierwszą stanowi tom pierwszy, obejmujący jego historyę do Kanta, część druga, czyli tom drugi, obejmuje historyą materyalizmu po Kancie.

Część pierwsza przeważnie historyczna, w ogóle czytelników większe budzić może zajęcie, lecz za to część druga obejmuje najżywotniejszą część dzieła bo siłę argumentacyi, i z tej to części, uczymy się nietylko krytykować materyalistów i idealistów, lecz zarazem przychodzimy do tego przekonania, że Lange usiłował dalej rozwinąć poglądy Kanta i wykazać, że krytycyzm jest jedyną filozofią, która wśród walki pojęć idealistycznych z materyalistycznemi, przez konsekwentnego myśliciela przyjętą być może. Lange nie jest bynajmniej materyalistą, owszem jest sumiennym krytykiem w duchu Kanta.

Tłomaczenie tego dzieła jest sumienne i staranne. Przekładowi i wydawnictwu jego nie możemy jak tylko przyklasnąć.

Henryk Konitz i Franciszek Olszewski. Podręcznik dla władz gminnych. Warszawa, 1883 r.

Prawdziwą i niewysłowioną zasługę położyli autorowie, wydając „Podręcznik dla władz gminnych”, czyniąc zeń nadzwyczaj pożądany dla ogółu nabytek. Zgromadzone są tu wszystkie przepisy i reskrypta, dotyczące władz gminnych, stanowiąc tym sposobem nieoceniony materyał, dla przyszłego badacza, ustawy gminnej.

Nadto praca ta jest nadzwyczaj użyteczną, tak dla zajmujących stanowiska w zarządzie gminnym jak i dla mieszkańców wsi, do ich obeznania z obowiązkami i prawami swojemi. Wobec tego wydawnictwa, stało się już zbyteczne nabywanie do codziennego użytku kosztownych zbiorów, bo w dziele pp. Konitza i Olszewskiego odnajdzie wszystko co tylko urządzeń gminnych dotyczy. Pomieszczenie reskryptów wyjaśniających przepisy zasadnicze, rozwiązuje niejedną niezrozumiałą lub źle zrozumianą kwestyą dla ogółu, przeplatanie zaś tekstu wzorami i przykładami ułatwia znakomicie pracę do służby nieprzygotowanych urzędników.

Książkę powyższą zalecamy szczególniej naszym wiejskim czytelnikom, mającym niemal codzienną styczność z życiem gminnem, gdyż dokładne poznanie go, uchroni społeczeństwo od nadużyć, jakich się dopuszczali i do dziś jeszcze dopuszczają niektórzy.

Grudziński Stanisław. Poezye. Warszawa, r. 1883.

Któż nie zna nazwiska tego sympatycznego a młodego jeszcze poety, nazwiska, które tak chwalebnie zapisane zostało na kartach naszej literatury? Któż z rzewną serdecznością nie powita niedawno co wyszłego tomu jego poezyi? Któż nie odczuje w swem sercu tego, co ten autor z serca napisał?

Z prawdziwą też radością powitaliśmy tom poezyi w których niemigotliwych a fajerwerkowych barw szukać należy, bo poezye Grudzińskiego to cenne perły, to łzy zaklęte w słowa pełne tęsknoty i rzewności. I czemuż tak płaczesz tak tęsknisz? Czyż dlatego może, że wiatry z nad Dniepru napoiły cię smętną nutą szumiących i jęczących stepów? Czy dlatego może, że kochasz tę ziemię, która jest twą matką karmicielką, pełną czaru i mroku? Czy dlatego, że:

Kto cierpi, tęskni — ten kocha,
Kto kocha — tęskni i płacze!?

Bądź co bądź smutkiem i tęsknotą nacechowane poezye Grudzińskiego nie rażą bynajmniej nastrojem swoim, owszem mają one w sobie wiele uroku i czytelnika pociągają ku sobie.

Oprócz powyższego nastroju w poezyach tego poety przebija się: *wiara i nadzieja!* i to właśnie sprawia, że utwory jego do serca tak rzewnie przemawiają.

Wiara i nadzieja też jest jego krzepicielką w cierpieniach i zwątpieniach duszy, ma też:

. . . . . przed sobą wiecznie
Cel wielki, święty, ukochany,
Coby rozpraszał nam słonecznie
Żywota chmury i tumany.

Do cennych pereł zbioru tego, śmiało zaliczyć można: „Ciernie kwitnące”, „Wierzę”, „Płaczącej matce” i wiele innych drobniejszych utworów, które istnemi są pieścidełkami, tak pod względem myśli, języka jak i formy.

Z większych poematów w zbiorze tym celują: „Za Nerona” (wiersz poświęcony Siemiradzkiemu), „Pochodnia”. W tem to poemacie, autor wspaniale kreśli obrazy nad plastyką których góruje duch walki staczanej rodzącego się Chrześciaństwa ze zgniłym i w próchno rozsypującym się Rzymem. „Zburzenie Persepolu”, to dramat straszliwy rozgrywający się przed naszemi oczyma!

„Hala” i „Dwie matki”, to dwa poematy, które chcąc ocenić należycie, trzeba samemu odczytać, szczególnie ostatni tragicznością swą przewyższa wszystkie inne.

Zbiór poezyi Stanisława Grudzińskiego wywołuje w czytelniku nawet w najzaciętszym wrogu poezyi nadzwyczaj miłe i sympatyczne wrażenie, pociągając serce i duszę do autora, który rok temu opuszczając Warszawę, pozostawił po sobie rzewną a serdeczną pamięć, nietylko jako poeta i powieściopisarz, lecz jako człowiek „z wiarą i nadzieją a poddaniem się woli Boga”, śmiało kroczy do celu po zwycięztwo.

Klęska być może końcem naszych dni,
Lecz gdzie cel walki i nagroda męztwa,
Palmę zwycięztwa odziedziczą ci,
Co iść umieli przez bój do zwycięztwa!

Wł. Kor. Zieliński.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Na wystawie elektrycznej w Wiedniu, widzowie podziwiać mogli niezliczone zastosowania elektryczności, rozwielmożniającej się coraz wszechstronniej.

Do nader ciekawych okazów należy mały teatr, urządzony według planu aktorów i architektów, którzy przed rokiem zrobili model praktycznego nadzwyczaj teatru i nazwali go „Asfaleją”. W teatrzyku tym, część dworskiego baletu przedstawia mały balet zastosowany do okoliczności. Oprócz tego popisuje się jakiś profesor ze swym elektrycznym mikroskopem, powiększającym przedmioty o milion razy. Profesor, wraz ze swym przyrządem, znajduje się w loży po za parterem i stamtąd świetlane swe obrazy rzuca na białą kortynę, spuszczoną przed sceną. Przestrzegamy amatorów sera, aby w razie sposobności nie patrzyli na takie obrazy, jeźli nie chcą stracić do niego gustu, gdyż ujrzeliby jakieś olbrzymie, jakby przedpotopowe zwierzęta, staczające z sobą zacięte walki.

W piwie znowu, pływają sobie całe szmaty drożdży, grzyby wielkie jak męzki kapelusz i przeróżne gąbki. Lecz najciekawszy widok przedstawia kropla wody z rzeki „Wiedenki” — odgrywają się w niej przerażające dramata. Rzucają się na siebie węże długości kilkunastu metrów, z otwartemi paszczami, lub znowu walczą z potworami, mającemi po obu stronach ciała, jakby szczotki z długich drutów, z krokodylami uderzającemi do koła silnym swym ogonem, z jaszczurkami znanemi tylko z geologii i t. d. Wszystkie walczą i biją się z sobą zawzięcie, przedstawiając w całej swej groźnej pierwotności, teoryę walki o byt. Gdy kropla wody zaczyna się mocno rozgrzewać od światła elektrycznego, wtedy dramat zmienia się w straszną tragedyę, gdyż atmosfera tak się podnosi, że potworom brak oddechu. Zrozpaczone, wściekłością miotane, rzucają się na siebie, pasują z sobą, szarpią, lecz stopniowo słabną coraz więcej, opadają z sił, zaczynają drgać konwulsyjnie, aż nareszcie padają martwe.

Oto co można zobaczyć w kropli nieczystej wody.

*** Z powodu zwiększającego się ruchu handlowego i coraz wszechstronniejszych i prędszych na całym świecie komunikacyi, powzięto myśl ujednostajnienia czasu a mianowicie godzin dnia, dla różnych miejscowości na kuli ziemskiej. Paryzka Akademia nauk zajmuje się obecnie tą kwestyą. Dotychczas astronomiczny czas każdej miejscowości, obliczony był według czasu przejścia słońca przez południk danej miejscowości. Gdy więc w Warszawie jest godzina 12 w południe, z jednej strony, w Wilnie jest 12 minut 17 po południu, w Petersburgu godz. 12 m. 37, w Moskwie godz. 1 min. 6, w Irkucku godz. 5 min. 33 wieczorem, a w Syberyi nad oceanem Spokojnym g. 8 wieczorem. Później z drugiej strony: w Paryżu jest dopiero g. 10 m. 45, w Nowym-Yorku godz. 5 min 39 rano i t. d. Przy tych różnicach czasu na obu półkulach, oprócz różnicy godziny, wynika jeszcze kwestya daty, gdyż jeźli czas miejscowości na tamtej np. półkuli, różni się o godzin 12, w porównaniu do godziny danej miejscowości w Europie, to zachodzi pytanie, czy wieczór przypadający tam jednocześnie z porankiem u nas, uważany ma być za wieczór dnia poprzedniego, czy też za wieczór tej, jaka u nas nastaje z porankiem.

Ujednostajnienie godzin możnaby osiągnąć przez oznaczenie uprzywilejowanego południka, według którego czas liczyłby się wszędzie, tak jak gdybyśmy w danej chwili znajdowali się nie na naszym południku, lecz na owym uprzywilejowanym. Godziny przytem liczyłyby się od 1-ej do 24-ej jak to ma miejsce we Włoszech.

Dotąd nie wiadomo jeszcze czy starania Akademii zostaną pomyślnym uwieńczone skutkiem.

*** W Ameryce, w Arizanie, miejscowości leżącej o 240 mil na zachód od Albuquerque, znajduje się las skamieniały, który dotąd niewielu podróżnych zwiedziło. Chcąc go poznać, trzeba udać się ze stacyi Carrizo leżącej w dolinie Sittle Colorado, przebywając strumyk Dolorado prawie

suchy wśród lata. Około dziesięciu mil od linii kolejowej, prowadzi droga do rozległej kotliny, w której leży ów las skamieniały. Dochodząc do niego spotyka się na drodze ułamki gałęzi, a szczątki drzew różnej wielkości, wystają tu i owdzie z piasku. Po półgodzinnej jeździe turysta dostaje się w środek lasu, którego drzewa leżą powalone na ziemię, skamieniałe w całości, lub tylko różnej wielkości gałęzie. Cały las obejmuje 300 akrów przestrzeni; średnica niektórych pni dochodzi do pięciu stóp; niektóre wyglądają tak jak gdyby świeżo ścięte zostały. Drzewa te skamieniałe mienią się wszystkiemi barwami tęczy, najpiękniej wyglądają mające barwę ametystów. Przy świetle słonecznym, ta różnorodna gra kolorów piękny i niezwykły tworzy widok. W tych skamieniałych drzewach można widzieć słój i włókienka.

*** Pan Tronvalot, uczony francuzki, który obserwował na wyspach Oceanu Spokojnego ostatnie zupełne zaćmienie słońca, konferował z panem Swift, astronomem amerykańskim o identyczności osobliwszej czerwonej gwiazdy, którą, wraz z adjunktem swoim obserwował podczas zaćmienia w odległości zaledwie trzech stopni sferycznych od tarczy słonecznej. Wynikiem tej konferencyi jest: że z przybliżoną pewnością stwierdzono istnienie planety pomiędzy słońcem a Merkurym. Już zmarły przed kilku laty sławny astronom francuzki Leverrier, według którego obliczeń odkryty został planeta „Neptun" otrzymał z wyrachowań swoich pewność, iż między Merkurym a słońcem znajdować się musi jedno jeszcze ciało planetarne — nowo odkryty planeta stwierdza dokładność jego wyrachowań.

*** W dziele Gilberta Whites p. t. „Natural history of Selborn" znajduje się opis nader skwarnego lata w 1783 r., a więc przed stu laty. „Lato w 1783 r., mówi autor, było zdumiewającem i groźnem z powodu nader licznych złowrogich zjawisk w przyrodzie. Oprócz strasznych meteorów i burz niezwykle gwałtownych, które ogromnem zdjęły przerażeniem ludność wielu miast angielskich, nadzwyczajnem tego lata zjawiskiem był gruby pomrok w rodzaju dymu, zalegający nietylko wyspy wielko-brytańskie, ale i kontynent europejski i obszary ziemi po za nim jeszcze przez pewną część lata. Pamięć ludzka nie przechowała nic podobnego z lat dawniejszych. Według moich zapisków osobliwsze to zjawisko natury obserwowałem od 23 czerwca do 26 lipca, w tym czasie zrywały się wichry w różnych stronach świata, ale nie zdołały wywołać najmniejszej zmiany w powietrzu. Słońce w południe zdawało się tak blade, jak księżyc przysłonięty obłokiem i rzucało na ziemię i przedmioty, jakieś jakby rdzawe światło, o wschodzie i zachodzie oblicze jego było mętne i zakrwawione. Przez cały ten czas było strasznie gorąco, tak że w dniu zabicia wołu, mięso psuć się zaczynało do tego stopnia, iż zaledwie jeść je było można, a po wsiach szczególniej, tak niezliczone roje much unosiły się w powietrzu około dróg i opłotków, że przejazd każdy stawał się nadzwyczaj przykry, a konie i trzoda prawie szalały. Po wsiach ludność z zabobonną trwogą spoglądała na posępne i krwawe oblicze słońca, a nawet ludzie światli i nieprzesądni mogli słusznie obawiać się następstw tak niezwykłego stanu przyrody. W ciągu tego czasu Kalabria i część Sycylii nawiedzone były trzęsieniem ziemi, a w Norwegii wulkan wynurzył się z dna morskiego. Wnosząc z pierwszej księgi „Raju utraconego" na sto lat przedtem Milton musiał być już w Anglii świadkiem podobnego zjawiska, gdyż daje w niej opis takiegoż wyglądu oblicza słonecznego.

*** Wychodzący w Kalkucie dziennik „Amir ul Akhbar" rozszerzył wielki przestrach między tamtejszymi muzułmanami, podając wieść, że prorok Mahomet objawił się stróżowi swego grobu w Mekce oznajmiając mu, że z nastaniem najbliższego *moharrum*, które zakończy czternaste stulecie ery mahometańskiej, słońce zacznie wschodzić na zachodzie, że wśród ludów świata powstanie wielkie zamieszanie, mnóstwo ludzi zginie marną śmiercią i ogromna trąba powietrzna spowoduje nowy potop — słowem, że zbliża się koniec świata. Groźba ta jednak tylko muzułmanów przerażać może, gdyż Chrześcian zapewnia Pismo św., iż Bóg nigdy już całego świata potopem karać nie będzie.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie spacerowe dla małej dziewczynki. Długi ciemnozielony sukienny paletocik z pelerynką, przybrany naszyciem z pletni wełnianej. Kapotka z materyi zielonej.

Ubranie spacerowe. Okrycie pluszowe zdobne wzdłuż przodów wyszyciem sznureczkowem jedwabnem, danem w ten sposób, że deseń pozostaje pusty a tło między nim naszyte sznureczkiem. Obłożenie z futra bobrowego. Kapotka koloru odpowiedniego do sukni, przybrana wązką wstążką i piórami.

Kostium sukienny spacerowy, dla młodej osoby. Spódnica zakończona kilkakrotnie przemarszczanym wolantem wyciętym w zęby. Draperya fartuszkowa z tyłu dopełniona upięciem szarfowem. Stanik paletocikowy zapięty na sznury szmuklerskie. Obłożenie i kołnierz z plumażu tego co suknia koloru. Kapelusz „chasseur" popielaty zdobny kolorowemi skrzydełkami i rozetą z aksamitki.

Odpowiedzi z Pracowni Ubiorów Damskich TYGODNIKA.

Pani A. P. w Będzinach. Suknia kaszmirowa kosztować może od 30 rs. do 60 rs., stosownie do gatunku materyału i przybrania.

Pani Maryi K. z Rokoszek. Suknia może być zrobioną w cztery dni po odebraniu pieniędzy.

Pani Maryi Bu. w Sladowie. Na termin oznaczony robota z pewnością zostanie wygotowaną.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu Dow. w Garbowie. Możemy zapewnić z całą sumiennością, iż Pismo nasze jak najregularniej co tydzień jest ekspedyowane, gdyż nadtem ekspedycya troskliwie czuwa. Niedochodzenie więc numerów we właściwym czasie nie pochodzi z winy Redakcyi, ale stacyi pocztowej w Zawiehoście, w której widać ktoś pożycza Pismo obcym osobom do czytania a opóźnienie wydawania składa na Redakcyą. Radzimy udać się do Naczelnika stacyi a nie wątpimy, że rzecz należycie wyświeconą zostanie. W każdym zaś razie nie z winy to Redakcyi, co raz jeszcze z całą sumiennością powtarzamy, nieregularne dochodzenie Pisma pochodzi.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою, Варшава 18 Октября 1883 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

W DOBRYM TONIE.

Przekład z angielskiego

Przez K. P.

(Dalszy ciąg.)

Letycya powiedziała to z wyrazem takiego politowania, że nieznajomy kichnął zasłaniając się chustką, aby tym sposobem zagłuszyć wybuch śmiechu.

— O! nie tak znów wiele, odrzekła kwaśno, starsza.

— Moja siostro, odezwała się łagodnie druga, może zabieramy czas tej pani. Potem dodała zwracając się do Letycyi: Zapewnie jesteś pani żoną mister Franka. Dał dowód dobrego gustu. Zacny to człowiek, zasługuje na to aby miał rozsądną i cnotliwą towarzyszkę. Mam nadzieję że ją znalazł w tobie.

Nastąpiły ukłony, pożegnania, i wyszły nakoniec z księgarni.

— Mister Tippington, ma rzeczywiście gust dobry, szepnął nieznajomy, patrząc w oczy Letecyi. Kto są te panie? dodał głośniej.

— Nie wiem. Nie schodzę nigdy do księgarni, a dziś zeszłam po to jedynie aby...

Wsunęła rękę do kieszeni, i znów cofnęła prędko jakby ją wąż ukąsił. Teraz mister Scot, pastor stanął na progu. Potrzebuję pisać kazanie, a zbrakło mu papieru. Ten wie przynajmniej czego chce. Ale wypada mu znów powiedzieć kilka uprzejmych słówek Letycyi, którą dotąd widział tylko zdaleka w kościele. Prócz tego, wszak grzeczność nakazuje przemówić także do nieznajomego, przeglądającego nuty, ukłonił mu się i wskazując na przypięte do jego kapelusza robaczki, mające służyć na przynętę dla ryb, zapytał:

— Jakże panu szczęście służy?

— Nie źle! odpowiedział nieznajomy, tylko... tylko ciągle ktoś przeszkadza.

Mówiąc to spojrzał znacząco na Letycyę.

— Znajdzie pan spokojne, mało uczęszczane miejsca, o dwie milki poniżej mostu.

— Dziękuję za objaśnienie, odpowiedział nieznajomy, i zaczął znów przeglądać nuty.

Pan Scott ukłonił się i wyszedł: Letycya korzystając z tego, zbliżyła się szybko do pliki nut. Nieznajomy zrozumiał ją, i biorąc pierwszy lepszy zeszyt wyciągnął z nim rękę ku niej, mówiąc:

— Te zatrzymuje.

Ręce ich spotkały się i polecenie miss Dianny zostało spełnione. W tejże samej chwili Frank Tipington stanął na progu księgarni.

X.

Pierwsze zminięcie się z prawdą.

Łatwiej wyobrazić sobie przestrach Letycyi niż go opisać. Odskoczyła w tył z lekkim okrzykiem, a twarz jej okryła się purpurowym rumieńcem. Nieznajomy trzymał spokojnie list w ręku. Zwinął nuty, położył pieniądzie na kantorze, spojrzał zimno na Franka, i nucąc wyszedł z księgarni.

Mąż i żona patrzyli na siebie w milczeniu. Letycya próbowała uśmiechnąć się swobodnie.

— Czy sprzedałaś co? zapytał Frank krótko i ostro.

Letycya wskazała mu nuty i pieniądze jeszcze leżące na kantorze. Była tak zmięszana że zapomniała wspomnieć o tem co sprzedała poprzednio.

Frank stał przed nią z ponurem wejrzeniem i zmarszczonem czołem, inne jeszcze pytanie nasuwało mu się na usta.

— Kto jest ten wymuszony elegancik? zapytał nagle.

— Nie wiem.

— Nie wiesz jak on się nazywa?

— Jakże mogłabym wiedzieć? Czy mam pytać się o nazwisko każdego co przyjdzie kupić pióro lub ołówek?

— Czy to ten sam którego spotkałaś wczoraj nad brzegiem strumienia?

Frank mówił to głosem tak surowym że Letycya zadrżała.

— Tak, szepnęła spuszczając głowę.

— Co znaczy ten list który mu dałaś?

— Li... list?

— Tak, widziałem że z twoich, przechodził w jego ręce.

— A! list! już wiem: upuścił go, a ja podniosłam i oddałam.

Było to pierwsze kłamstwo, wywołało też gorący rumieniec na twarz Letycyi, czego jednak nie dostrzegł Frank, uspokojony zupełnie tą jej odpowiedzią.

— Droga moja! zawołał, miałaś słuszność, jesteś zbyt młoda i piękna, abyś mogła stać za kantorem.

— A jeźli mi się podoba stać za nim?

— Podoba! Potem zniżając głos: Słuchaj Letycyo, te uśmieszki, te minki, może bardzo powabne w salonie, są całkiem nie na swojem miejscu za kantorem, zwłaszcza gdy są zwrócone do młodych gentlemanów.

— Czyż dopuściłam się tak czegoś bardzo złego?

— Niczego więcej, nad to co powiedziałem: to jest pewnej zalotności, pewnego braku taktu w całem zachowaniu. Nie mam zamiaru łajać cię, Letycyo, nie, bynajmniej; tylko oświadczam że dopóki mistress Tippington nie nabędzie poważnego obejścia, niezbędnego dla młodej kobiety stojącej za kantorem, dopóty mistress Tippigton stać za nim nie będzie.

Frank powiedziawszy to, ucałował żonę. Tym razem ufność męża wywołała tak ostre wyrzuty w duszy Letycyi, że nie zdołała zagłuszyć ich tak prędko. Niestety! udało jej się to w końcu, dzięki tej zręczności w uniewinnianiu samych siebie, jaką wszyscy mniej więcej posiadamy.

— Czy mogłam odpowiedzieć inaczej? mówiła do siebie. Czy miałam złamać słowo? Czy podobna było zdradzić powierzoną mi tajemnicę, dlatego że Frankowi podobało się pytać o to co go nic nie obchodzi? Jeźli zminęłam się z prawdą, to on temu winien; po co zadaje podobne pytania? On sam zmusił mnie do...

Nie wymówiła do czego, i aby nie myśléć o tem dłużej, zaczęła pocieszać się tą myślą że prędzej czy później Frank dowie się o wszystkiem z jej własnych ust.

Mąż uspokojony zupełnie, żona bielsza od śniegu w swojem mniemaniu, wrócili do siebie rozmawiając wesoło. Letycya uwiadomiła wtenczas Franka, że jeszcze tego samego dnia wieczorem, ma wziąść udział w ogólnej próbie. Frank ubolewał nad tem że zmuszony uregulować rachunki, nie mógł jej towarzyszyć, ale obiecał że przyjdzie po nią.

— Jeźliby, dodał, jakiś nieprzewidziany wypadek sprzeciwił się temu, nie wracaj sama, moje kochanie, niech cię Donolly odprowadzi.

— Nie obawiam się iść sama, odpowiedziela żywo. Jako młoda panienka chodziłam i wracałam sama. Jeźli sądzisz że jako *mężatka* wyrzeknę się praw moich...

— Ale ja lubię opiekować się tobą, odpowiedział młody mąż z łagodnym uśmiechem.

— A ja lubię zostawać pod twą opieką, odpowiedziała zalotnie Letycya. Dzięki Bogu, nie tak dawno jesteśmy połączeni, abyśmy już byli znudzeni sobą. Wszak prawda?

— Ah! co mówisz Letycyo! Alboż moglibyśmy dojść do tego? Czy podobna wyobrazić sobie że małżonkowie znużą się tem co stanowiło największe ich szczęście, dlatego że już od pewnego czasu złączeni z sobą? Dość spojrzéć na Donolly'ch po sześciu latach małżeństwa. Można być pewnym że wspólna przechadzka sprawia im dziś nie mniejszą przyjemność jak w pierwszych dniach po ślubie!

— Ah! mój drogi, gdybyś wyraził się przynajmniej en *tête-à-tête!* Zawsze ci Donolly! Znudziło mnie to już śmiertelnie! Powiedz mi co cię tak zachwyca w tych twoich Donolly? Co do mnie przekładam bez porównania panny Hope.

— Hope! powtórzył Frank otwierając szeroko oczy. Myśléć o przyjaźni z córkami lorda Hope! Za wysoko one stoją, żoneczko, abyśmy mogli dosięgnąć do nich.

— Tak sądzisz, odpowiedziela z tryumfującą minką. Otóż pokażę ci, mój panie, że przyjdzie mi to z łatwością, i że jeźli tobie podobało się wybrać Bryana Donolly za najlepszego przyjaciela, to ja znalazłam przyjaciółkę w miss Diannie Hope!

— Ha! ha! ha! ha!

— Śmiej się, śmiej... Zobaczymy!.. Mężowie mają zawsze słuszność a żony nigdy. To rzecz jasna jak słońce, że nasi panowie i władzcy są nieomylni! w każdym razie przyszłość pokaże jak to będzie.

Trochę zalotny, trochę zarozumiały uśmiech zakończył rozmowę, pocałunek sprzeczkę, i mistress Tippington z lekkiem sercem udała się na ogólną próbę.

— Jakże chciałabym widzieć co dalej będzie, mówiła do siebie? Bo doprawdy że od wczorajszego dnia żyję jak w zaczarowanym świecie. Co nastąpi dalej?

Odpowiedź przedstawiała się pod postacią miss Dianny, która wyprzedzając Dosię, przeskoczyła baryerkę i przybiegła do Letycyi.

Nastąpił uścisk ręki i Letycya znalazła się w siódmem niebie.

— Doprawdy, urodziłam się pod szczęśliwą gwiazdą! zawołała roztrzepana miss. Choćbym skoczyła z największej wysokości, zawsze jak kot upadnę na nogi. Dziś z nikim w świecie nie życzyłabym sobie tak spotkania, jak z panią.

— Z wyjątkiem jednej tylko osoby, dodała Dosia.

— Strzeż twego języczka, moja panienko, gdy mówisz do starszych! zawołała Dianna grożąc jej palcem. Można od biedy znieść obecność dzieci,

ale pod warunkiem aby nie mięszały się do rozmowy. A teraz mistress Tippington, proszę usiąść przy mnie gdy wejdziemy do sali. Tam do licha! jakże jesteś zachwycającą istotą! Doprawdy, dałabym za to... nie wiem co, aby choć w połowie być tak piękną...

— Nie mów: *Tam do licha!* odezwała się poważnie Dosia; w Anglii uważanoby to za coś nadzwyczaj gminnego. Wiem to z pewnością, bo słyszałam od miss Georginy.

— Znajdujemy sią w Irlandyi! zawołała Letycya, i prawdę mówiąc tak Anglia jak Anglicy nic mnie nie obchodzą.

— O! ale Diannę obchodzi bardzo *wszystko co angielskie!* i dlatego jej to powiedziałam.

— Więc on jest Anglikiem?

— Mistress Tippington, mistress Tippington! zawołała Dianna zatrzymując się nagle, żadnych aluzyj, żadnych co się zowie, usilnie o to proszę.

Mistress Tippington zaczęła ją przepraszać.

— Dobrze, dobrze, powiedziała Dianna. Czy pani oddała to co pani wie?

Dosia śmiała się serdecznie zasłoniwszy się parasolikiem.

— Tak.

— Przyniesie prawdopodobnie odpowiedź; zaklinam cię, mistress Tippington, staraj się aby cię zastał w księgarni.

— Zastanie! odpowiedziała tak uroczystym głosem Letycya, jakby od tego zależało czyjeś życie. Tylko, jak wiadomo, mężczyźni mają w sobie ducha sprzeciwieństwa! Gdy ja nie chciałam schodzić do księgarni, mąż mój ciągle namawiał mnie do tego; teraz zaś skoro ja tego pragnę, wzbrania mi tam wstępu.

Dianna wzruszyła ramionami,

— Jeźli mężczyzni mają ducha sprzeczności, rzekła, to kobiety są z urodzenia dyplomatkami. Jeden mężczyzna przeciwko dwóm kobietom!..

— Powiedz przeciwko trzem, odezwała się błagająco Dosia.

— Niech będzie, trzem! Biedny master Tippington!

Wkrótce owe trzy kobiety, z których najstarsza nie miała jeszcze dwudziestu lat, weszły razem do sali szkolnej, i razem zajęły miejsca na najwyższem stopniu estrady.

Nigdy jeszcze Letycya nie doznała podobnego upojenia, obrzucała też wszystkich spojrzeniem błyszczącem radością i dumą. To wszystko co miss Hope szeptała jej do ucha, przeświadczenie o swem wysokiem znaczeniu, i o zazdrości jaką musiała wzbudzić w istotach mniej od siebie szczęśliwych... nie potrzeba było nawet tyle do zawrócenia jej głowy.

Jednak brak jej było do zupełnego tryumfu obecności mistress Donolly. Nie mogła się przed nią pochlubić swemi przyjaciółkomi z arystokratycznej rodziny, i taką jej to sprawiało przykrość że odezwała się mimowolnie.

— Co to znaczy że nie ma dotąd mistress Donolly?

— Mistress Donolly? Cóż to za jedna?

Letycya doznała podobnego wrażenia jakby ją kto oblał zimną wodą. Miss Hope nie wiedziała nawet o istnieniu mistress Donolly! Mistress Donolly, zajmującej pierwszorzędne miejsce w tej sferze do której należała Letycya!

— Pani jej nie zna? szepnęła Letycya zaledwie dosłyszanym głosem.

— Ja? Nawet nie słyszałam o niej. Jest wprawdzie jakiś Donolly sprzedający wino, od którego ojciec mój kupuje zwyczajne, tanie Sherry. Nie wiem czy jeszcze jakiś inny znajduje się w Claumena. Może to jego matka albo żona.

Letycya milczała nie chcąc przedłużać tak niemiłej dla siebie rozmowy, zwróciła przypadkiem oczy na okno znajdujące się po drugiej stronie, i zobaczyła tam coś takiego co ubudziło w niej głębokie zadziwienie.

XI.

Jeszcze on.

W oknie otoczonym bluszczem ukazała się twarz nieznajomego, z oczyma wlepionemi w Letycyę. Mistress Tippington przestraszona tem niespodziewanem zjawiskiem, podskoczyła na krześle. W tejże samej chwili nieznajomy podniósł w górę rękę w której trzymał jakiś przedmiot podobny do kwadratowego kawałka papieru, i zniknął nagle. Letycya odurzona, nie zrozumiała w pierwszej chwili co to mogło znaczyć, ale później domyśliła się że ten biały przedmiot był zapewnie listem, który miał z jej pomocą dojść do miss Dianny, i że chciano go wsunąć jej w ręce gdy będzie wracać do domu.

Pragnęła uwiadomić o tem natychmiast Diannę. Niepodobna! mógłby kto usłyszeć.

— Miss Hope, zapytała nagle, kto panie odprowadzi do pałacu?

— Ojciec przyjdzie po nas, odpowiedziała z miną bynajmniej nie wyrażającą zadowolnienia.

Wkrotce rzeczywiście ukazał się baronet, mężczyzna wysoki, poważny, z surowym wyrazem twarzy, i usiadł przy córkach, które od tej chwili nie tylko że nie przemówiły jednego słówka do Letycyi, ale nawet nie spojrzały na nią.

Wprawdzie po skończonej próbie, gdy już składano nuty, Dianna uścisnęła znacząco pod stołem rękę Letycyi, ale jakaż to słaba pociecha! Nagła zmiana w obejściu Dianny dotknęła boleśnie mistress Tippingtou. Cóż znaczyło to ukradkowe uściśnienie ręki, w porównaniu z jawnie okazywaną poufałością w obec tak licznego zgromadzenia? lecz że pomimo swej lekkomyślności miała dobre serce, pocieszało ją to że jest opiekuńczym aniołem dwojga zakochanych.

Jestże na świecie skarb drogocenniejszy nad miłość wiernego i szlachetnego serca? Jakaż to zmiana zaszła w jej własnem istnieniu od chwili w której kochała i była kochaną? Dlatego też Letycya uważała że powinna podać pomocną rękę ofiarom surowości rodzicielskiej, przyłożyć się do ich szczęścia. A cóż dopiero gdy pomyślała że osoby należące do arystokratycznego świata, wybrały ją za swego sprzymierzeńca, za swoją opatrzność!.. O! warto było za taką cenę znieść jakąś przykrość, jakiś zawód, bez szemrania.

Gdy mistress Tippington wychodziła żwawym krokiem z sali, państwo Donolly zastąpili jej drogę, a powitawszy ją i zamieniwszy parę słówek, jedno z nich stanęło po jej prawej, a drugie po lewej stronie, jakby się czuli obowiązani odprowadzić ją do domu. A nieznajomy? Nieznajomy oczekujący na nią zapewnie z największą niecierpliwością! Nieznajomy który, może, wsunąwszy jej list w rękę, byłby ją odprowadził! On! prawdziwy gentleman! O! jakże ci Donolly są nieznośni!

Poczciwy Bryan nie domyślał się jak pogardliwem obrzucono go spojrzeniem. Jak niezgrabne ubranie! Jakie gminne ruchy! A jednak jestto najlepszy przyjaciel Franka i zajmuje, dzięki swej zamożności, lepsze niż jej mąż miejsce w społeczeństwie! Jakże to upakarzające! Stać niżej niż Donolly, człowiek nieznany zupełnie miss Hope, którego nazwisko przypomina jej tylko butelkę Sherry.

Tu przyszło jej na myśl, że Frank, jej mąż kochany, jakkolwiek był tylko księgarzem, wyrażał się i ubierał jak człowiek *dystyngowany* i serce jej zaczęło bić radośnie.

— Frank nie miał zapewnie czasu przyjść po panią? odezwał się Donolly?

— Tak, zatrzymały go interesa lorda Hope, którego jest prawą ręką, odpowiedziała Letycya podnosząc dumnie głowę i przymrużając oczy

Henrieta i Bryan znający lepiej niż Letycya interesa jej męża, jak niemniej że stosunki jego z baronetem ograniczają się na dostarczeniu mu książek, piór i papieru, z trudnością powstrzymali się od śmiechu.

— Tak odpowiedział Donolly ze swą zwykłą szczerością, Frank sprzedaje mu niektóre towary.

— Sprzedaje! towary! Ah! master Donolly!

— No! Jakto! Cóż pani w tem widzi tak rażącego? Sądzę że tego tylko trzeba żałować, że nie sprzedaje baronetowi więcej jak obecnie. Ja także dostarczam wino do pałacu.

— Wiem! odpowiedziała z żywością Letycya, szczęśliwa że może mu dociąć, wiem że pan sprzedaje mu najtańszy gatunek Sherry, bo mi to powiedziała miss Dianna.

Henrieta zarumieniła się, ale Bryan odpowiedział spokojnie:

— Co mnie bardzo cieszy, gdyż przynosi mi parę tysięcy szylingów rocznie. Baronet sprowadza rzeczywiście z Londynu wino Szampańskie, ale sam przyznaje że nie możnaby znaleźć nigdzie lepszego i czyściejszego Sherry, nad to które bierze u mnie po 5 szylingów butelka! Ale też nie fabrykowane, zaręczam za to!

— Pięć szelingów butelka! zawołała Letycya. Moja ciotka płaciła półtrzecia szylinga za Sherry przeznaczone dla gości. Jakże szczęśliwymi są bogacze!

Zaledwie te słowa wysunęły się z ust mistress Tippington, już byłaby rada je powstrzymać, żałując że zdradza tak niepotrzebnie tajemnice rodzinne.

— W takim razie, odpowiedział zimno Donolly, tamto Sherry nie było Sherry, ale co najwięcej Morsala, a prawdopodobnie tylko mieszanina z wódki, melassy i studziennej wody, którą jestem zmuszony sprzedawać młodym ludziom chcącym we wszystkiem czuć *brandy!* Ostrzegam ich wszakże iż wyszliby lepiej kupując za też samą cenę nasze poczciwe Marsala. Czy pani wie, że stosując się do przepisu doktora, pamiętam o tem aby żona moja wypiła codzień rano kieliszek Sherry? To najlepszy dowód że jest czyste, niezaprawiane.

— Jakto! Codzień kieliszek tego zagranicznego napoju! zawołała Letycya, która wtem widziała coś bardzo dystyngowanego.

— Ale! zapytał nagle Bryan, czy się pani nie przestraszyła dziś przed zaczęciem próby, spojrzawszy w okno znajdujące się naprzeciwko pani.

— Ja!.. czego? odpowiedziała zarumieniona silnie.

— Tak, pani. Kto to zaglądał oknem, trzymając w ręku coś białego?

— Nie widziałam nikogo, odezwała się Henrieta.

— Ale mistress Tippington widziała go zapewnie.

— Ja?.. Czyby tam kto był? Nie zwróciłam na to uwagi.

— Sądziłem że go pani zna.

— Nie.

Letycya powiedziała to głosem pewnym, gdyż rzeczywiście nie znała nawet nazwiska tego gentlemana. Czując jednak że to niebezpieczny dla niej przedmiot rozmowy, postanowiła go zmienić.

— Czy może być coś niewygodniejszego nad suknie bez kieszeni! zawołała zwracając się Henriety. Nie ma żadnej przy tej sukni! Gdzie tu włożyć chustkę, pormonetkę, lub jakiś sprawunek? Wprawdzie niepodobna przyszyć kieszeni do spódniczki tak przylegającej do osoby, co podług mnie jest czemś zachwycającem, ale czemu nie umieścić jej z boku, na wierzchu, co byłoby zarazem ładnem i wygodnem.

Zaledwie to powiedziała, gdy przestraszył ją głos zwracający się do niej wśród ciemności:

— Przepraszam panią, mówił nieznajomy podając jej list bez adresu. Widziałem że ten list wypadł z jej kieszeni.

Letycya zmieszana, zarumieniona, chciała już list odebrać, ale Bryan stając między nią i nieznajomym, nie pozwolił na to.

— Pani nie ma wcale kieszeni, rzekł grzecznie ale stanowczo; a za tem nic z jej kieszeni nie wypadło.

Letycya cofnęła rękę, nieznajomy ukłonił się i odszedł w przeciwną stronę. Bryan zmarszczył czoło, Letycya szła obok niego ze spuszczonemi w ziemię oczyma.

— Jakiż to piękny młody człowiek, odezwała się po chwili Henrieta, uważając to co się stało za prostą pomyłkę.

—Zuchwalec! chłystek! mruknął Bryan. Czy to się godzi?.. Wyjąwszy, dodał zwracając się do Letycyi, jeźli to ktoś ze znajomych pani?

Mistress Tippington czuła że jej wypada coś odpowiedzieć na to pytanie.

— Niepodobna spamiętać wszystkich osób które spotykaliśmy w ciągu całego życia, rzekła obojętnie.

— Może to jakiś *lew* z Rostrewor, jakiś dawny wielbiciel?

Master Donolly mylił się w swych domysłach, ale ucieszyło to właśnie Letycyę i nie myślała wyprowadzić go z błędu.

— Ah! master Donolly! *Rostrewor!* Skąd panu przyszło na myśl Rostrewor? Tak, pozostawiłam tam nie jedno wspomnienie... znajomych... którzy...

— Frank, odpowiedział zimno Bryan, przyjmie chętnie *dawnych pani przyjaciół*, skoro mu zostaną przedstawieni otwarcie, według przyjętego zwyczaju.

Letycya wzniosła ku niebu omdlewające spojrzenie.

— Mistress Donolly, czy pani widziała kiedy równie piękny wschód księżyca? Trudno mi uwierzyć że to zawsze ten sam odwiedza nas co miesiąc! Tak są często niepodobne do siebie, jedne chmurne, ponure, inne jasne, wesołe!

Rzeczywiście, wielka tarcza księżyca wznosiła się poważnie w górę, obrzucając ziemię swem łagodnem światłem. Przypatrywali jej się w milczeniu, gdy piękny głos męzki, wychodzący niewiadomo z kąd, zaczął śpiewać:

„Gdzie poszedł mój rybak? Kiedy go znów zobaczę? Kiedy zobaczę pięknego rybaka, któremu oddałam serce?

„Tam na lewo od mostu, gdzie płynie strumień srebrzysty, gdzie brzeg wysypany żwirem, znajdziesz twojego rybaka.

„Czemuż on się tam ukrywa? Na co czeka nad strumykiem? Czy na zwinną, złotą rybkę, czy też na swoją kochankę?

„Jutro gdy zegar wybije dziesiątą, biegnij nad strumyk dziewczyno, bo twój rybak ukochany, czekać tam na ciebie będzie.

Zaledwie wśród wieczornej ciszy przebrzmiała ostatnia nuta, Letycya roześmiała się tak głośno, że Bryan i Henrieta spojrzeli na nią z zadziwieniem,

— Ah! przepraszam, przepraszam, zawołała, usiłując powstrzymać ten nieusprawiedliwiony wybuch wesołości.

— Zdaje mi się że ani nuta ani słowa nie mają w sobie nic śmiesznego, odezwała się poważnie Henryeta.

— Nie, nie!., tylko... myślałam o czem innem.

Czoło Bryana zachmurzyło się jeszcze więcej. Gdy doszli już do miejsca w którem Letycya miała zboczyć w inną ulicę, zaczęła żegnać się z towarzyszami, ciesząc się że pozostanie nakoniec sama, ale omyliła się bardzo:

— Odprowadzę panią aż do domu, odezwał się tak stanowczo Donolly, że musiała zgodzić się na to.

Dotrzymał słowa, odprowadził ją aż do drzwi, i nie odszedł dopóki nie zamknęły się za nią.

Bryan rozdrażniony próżnością Letycyi, jej protekcyonalnem obejściem się z Henrietą, wołał z gniewem wracając do domu:

— Bezrozumne stworzenie! Ciągle ma na ustach *miss Hope!* Biedny Franku, po co ci było nabawiać się tak ciężkiego kłopotu, a może ściągnąć na siebie nieszczęście!

— Kochają się, są szczęśliwi, po cóż przewidywać coś złego? rzekła Henrieta.

— Tak, on ją kocha, kocha do szaleństwa, nie przeczę temu. Ale ona?

— Ona kocha go także. Wyczytałam to z jej oczu.

— Z oczu? Moja droga Henrieto, są kobiety których oczy mówią tylko to co one każą im mówić. Co powiedziałabyś na to, gdyby Letycya kochała kogoś zanim poszła za Franka? Gdyby ten stosunek zerwany chwilowo, znów się zawiązywał?

— Bryanie! zawoła Henrieta, są to przypuszczenia niegodne ciebie! Ja ręczę że Letycya kocha męża, ręczę za jej wierność, za jej serce!

— Daj Boże abyś się nie omyliła! rzekł Bryan, i weszli do domu.

Letycya wbiegła szybko na schody, nad któremi Frank czekał już na nią z otwartemi rękami.

— Ubolewałem nad tem, droga moja, że nie mogłem wyjść naprzeciwko ciebie!

— Franku, powiedz mi w którym to miejscu jest most na naszej rzeczułce, i czy tam jej brzegi są zasłane zwirem?

— Tak, śliczny to zakątek. Pójdziemy tam kiedy razem.

— W której stronie? Czy daleko?

— O milę ztąd, idąc starym gościńcem, w tem miejscu gdzie rzeka zbacza na lewo, i przesuwa się szumiąc pod arkadą mostu.

— Franku, czy będziesz jutro bardzo zajęty?

— A co powiedziałabyś na to, gdybyśmy poszli tam oboje, jutro przed obiadem?

— Przed obiadem! kiedy jeszcze słońce tak dogrzewa? Czemuż nie wieczorem, przy świetle księżyca? Jeźli w tej porze nie możesz mi towarzyszyć to pójdę sama.

— Sama! Nie, Letycyo, samotne przechadzki są niewłaściwe dla tak młodych kobiet, zwłaszcza nad brzegami strumieni, gdzie mogą spotkać gentlemanów łowiących rybki na wędkę!.. Jeźli się tak boisz gorąca, to pójdziemy do mostu jutro wieczorem. Ranek przepędzisz w domu; jak to czyni każda dobra gospodyni.

— Gospodyni! Jakaż to pospolita nazwa! Jakież do niej przywiązujesz znaczenie?

— Łatwo się tego domyśléć: powinnaś wejść do kuchni wskazać kucharce jak ma przyrządzić obiad; zobaczyć czy w szafach wszystko znajduje się na swojem miejscu; przejrzéć moją bieliznę i ubranie, znajdujące się obecnie w stanie opłakanym...

— Twoją bieliznę! twoje ubranie! Doprawdy, nie przypuszczałam nigdy aby to należało do obowiązków żony. W takim razie powinna być o tem wzmianka przy ślubie, między zobowiązaniami, i gdy ty wyrzekłeś: "Nie opuszczę cię aż do śmierci!" mnie wypadało odpowiedzieć: „A ja będę cerować twoje skarpetki!"

— Proszę cię, Letycyo, wybierz sobie jakiś inny przedmiot do żartów, nie naruszaj rzeczy świętych.

— Czy zamierzasz zostać kaznodzieją? Może, nie wiedząc o tem, jestem żoną jakiegoś wielebnego?

— Nie, nie myślę ci mówić kazania, pragnę tylko abyś była moją dobrą, kochaną żoneczką, rozsądną, skromną, łagodną jak aniołek.

— Taką też jestem, mój panie.

XII.

Małe kłamstwa.

Jak tu się wyswobodzić z pod nadzoru męża i w ten śliczny wiosenny poranek pobiedz do mostu gdzie oczekiwał nieznajomy z listem w ręku. Wszakże Frank zakazał jej odbywać samotne przechadzki zwłaszczcza nad brzegiem strumieni, gdzie można było spotykać pięknych rybaków, a tu szło właśnie o to spotkanie. No, tak, ale gdyby Frank wiedział o co idzie — a powie mu to natychmiast gdy jej miss Hope pozwoli — w takim razie cofnąłby ten zakaz z pewnością.

Mistress Tippington myliła się bardzo, Frank nie pozwoliłby nigdy aby Letycya podejmowała się tak kompromitującej roli, jaką przyjęła przez nieświadomość, a może więcej jeszcze dla zadowolnienia swej próżności.

Mistres Tippington postanowiła przekroczyć rozkaz męża: Rozpieszczona przez narzeczonego, starającego się prawie uprzedzać jej myśli, nie mogła uwierzyć że jako mąż pozyskał nad nią władzę, i miał prawo żądać jej uległości. Tajemnica, niezwykłe przygody, nawet grożące jej niebezpieczeństwo, wprawiały ją w upojenie; co zaś do ukrywania swych czynności przed Frankiem, i nieposłuszeństwa jego woli, była to drobnostka, za którą zresztą przeprosi go, gdy jej to będzie dozwolonem.

O dziewiątej włożyła okrycie i kapelusz, dla spokojności sumienia zajrzała do księgarni; zobaczyła z radością że mąż rozmawia z kimś przeglądającym książki, i oddaliła się cicho i prędko — wszak nie mogła mu przeszkadzać? Jeźliby, pomyślała, wymawiał mi że wyszłam bez jego wiedzy, to będę mogła *nie kłamiąc*, powiedzieć mu że chciałam go uprzedzić, i nie będzie się gniewał!

Gdy Letycya biegła prędko i lekko przez ulicę, miss Dianna Hope oglądająca w magazynie kapelusze, spostrzegła ją przez okno, wybiegła do niej i szepnęła chwytając jej ręce:

— Czy masz *jego* odpowiedź?

— Nie, ale idę po nią.

— Dobrze. O szóstej będę w księgarni.

Nastąpiło znów gorące uściśnienie ręki, uśmiech, pełne wdzięczności spojrzenie, i Letycya poszła dalej.

— Oh! mistress Donnoly czemuż nie byłaś świadkiem tej cichej rozmowy i tak pochlebnych dowodów poufałości!

Droga, rzeczka, most, słowem wszystko zgadzało się zupełnie z opisem Franka, z tym tylko dodatkiem, że nieznajomy stał tam już jak posąg, trzymając list w ręku. Zbliżenie się Letycyi ożywiło posąg, który zaczął nucić ostatnią strofkę śpiewanej poprzedniego dnia piosenki.

— Cicho, cicho! przerwała Letycya. Gdyby kto usłyszał!

— Wybacz pani, odezwał się nieznajomy, ale oczekiwałem pani tak niecierpliwie, i ujrzałem z taką radością, że wszystko zresztą wyszło mi z pamięci. Przepraszam! Dziękuję! Szlachetna istoto! widzisz przed sobą nieszczęśliwego człowieka, pogrążonego w rozpaczy... Ten ludożerca baronet nie chce zezwolić abym poślubił jego córkę, a nie chce dlatego że nie jestem milionerem, że chce ją wydać za starego ale bogatego baroneta, posiadającego najgorsze nałogi i przywary... a prócz nich sztuczną nogę!

— Sztuczną nogę! Co za potwór!

— Ręczę za to honorem. A nawet zdaje mi się że i druga sztuczna. Daję słowo że to do niego podobne!

— Najgorsze nałogi i przywary! zawołała mistress Tippington, widząca w tem nowy powód usprawiedliwienia dla siebie, wrazie gdyby jej czyniono kiedyś jakie wyrzuty. Nie tylko życzliwość ale miłosierdzie chrześciańskie nakazywało przeszkodzić temu, aby sprzedawano niewinne dziewczę staremu zbrodniarzowi, chodzącemu na sztucznych nogach.

— Tak, jestto stary schorowany hulaka! Tylko lord Hope mógł pomyśléć o połączeniu swej córki z tą starą wysuszoną mumią!.. A teraz, weź ten list, *opiekuńczy aniele!* Czemuż nie możesz wznieść się zaraz w powietrze, ulecić prosto do jej okienka! Anioł bez skrzydeł, to rzecz niesłyszana, to straszna, krzycząca niesprawiedliwość!

Letycya uśmiechnęła się. Jakże to miło być nazwaną *opiekuńczym aniołem!* A przy tem nieznajomy wyrażał się tak pięknie, tak elegancko! Jakże uroczem będzie życie Dianny! Przechadzać się nad brzegiem strumienia, zarzucać wędkę w jego przejrzyste nurty, zachwycać się pięknemi widokami, śpiewać, bawić się od początku do końca roku, czy można wyobrazić sobie idealniejsze istnienie?

— Muszę już odejść, rzekła mistress Tippington, czekają na mnie w domu.

— Niestety! na mnie nikt nie czeka! zawołał żałośliwie nieznajomy, jestem sam jeden na świecie!

Letycya wracała do domu silniej jeszcze przekonana o dobroci sprawy zakochanej pary, i oburzona do najwyższego stopnia barbarzyństwem okrutnego ojca.

Czy może być coś straszniejszego jak małżeństwo z przymusu? Nad związek z istotą wstrętną, z jakimś starym niedołęgą, włóczącym się jeszcze po świecie na przyprawianych nogach! O! z pewnością wolno było chwytać się wszelkich środków, dla wydarcia z jego szponów nieszczęśliwej ofiary.

Letycya zajęta temi myślami, prawie biegła do domu, z obawy aby Frank spostrzegłszy jej nieobecność, nie rozgniewał się na nią. W takim razie czyniłby jej znów jakieś wymówki, i byłaby zmuszona zmyślić coś na swe usprawiedliwienie, na co jeszcze obruszało się jej sumienie. Jeźli jednak przyjdzie do tego, to tak w tym razie jak w wielu innych, wina nie spadnie na nią, ale na jej męża! Po cóż zrzędzi i łaję przy każdej sposobności?

Ale jak się uwolnić od wspólnej wieczornej przechadzki? Ha! powie że głowa ją boli, (ciotka Letycyi miała migrenę na każde zawołanie) Tym sposobem zostanie w domu, będzie mogła zejść do księgarni, oddać list miss Hoppe, i... byle tylko Frank nie chciał pozostać przy niej... On zawsze tak dobry. tak o nią troskliwy!..

Gdy nad tem myślała, Bryan Donolly wybawił ją pomimowolnie z kłopotu. Szedł właśnie do Franka, aby go wraz z Letycyą zaprosić do siebie. Sprowadził sobie doskonały mikroskop, a że kilka dni temu mistress Tippington raczyła słuchać z pewnem zajęciem gdy mówiono o doświadczeniach czynionych za pomocą mikroskopu, chciał aby powzięła o nich dokładniejsze wyobrażenie.

Letycya postanowiła skorzystać z tego zbiegu okoliczności.

— Przyjdziemy wkrótce po obiedzie, rzekła.

— Pani zdaje się bardzo zmęczona. Czy pani chodziła gdzieś daleko?

— Byłam przy moście na strumieniu, odpowiedziała nierozważnie. Trudno to od razu kłamać wprawnie.

Skoro wróciła do domu, Frank zadał jej toż samo pytanie — wszyscy mężczyźni mają nieznośny zwyczaj mieszania się w nie swoje rzeczy — ale teraz Letycya miała już czas obmyślić dalszy plan postępowania. Zamiast odpowiedziéć na jego pytanie, zaczęła mówić o mikroskopie, doświadczeniach, Henriecie Donolly, a w końcu dodała:

— Wychodząc chciałam pożegnać się z tobą, ale byłeś tak zajęty rozmową, że nawet nie spojrzałeś na mnie.

— Ale gdzież byłaś? pytam raz jeszcze.

— Gdzie? wszak już mówiłam.

— A! u Henriety Donolly. To dobrze.

Wieczorem, pomyślała Letycya, przy pomocy mikroskopu, jedni i drudzy zapomną tak o mej wycieczce jak o sprzecznych moich odpowiedziach, a gdy kiedyś opowiem wszystko Frankowi, naśmiejemy się szczerze z moich wybiegów.

Letycya wesoła, rozmowna, jadła obiad z apetytem nie dozwalającym przypuszczać że wkrótce dostanie migreny.

Frank mówił o mikroskopie jak człowiek miłujący naukę:

— Zobaczysz, moja droga, jak kunsztownie jest zbudowana trąbka muchy!

— Muchy! gdybyś powiedział przynajmniej tromba słonia.

— Jak te drobne stworzonka świadczą wymownie o wielkości Boga!

— O! to już zawiele! I wy, moi panowie, ośmielacie się wymawiać kobietom że lubią zajmować się drobnostkami!

— Są w przyrodzie skarby...

— Ukryte w trąbce muchy? Najdrobniejszy wypadek z codziennego życia jest bez porównia więcej zajmującym. Czy przypominasz sobie, Franku, że gdy w Rostrewor opowiadałam ci o pięciu niedoszłych małżeństwach Laury Walter, o fałszywych diamentach któremi pyszniła się mistress Pool, lub o niezgrabności i śmiesznostkach Johna Trewor, wzruszałeś ramionami, przyznej jednak że to było zabawniejsze niż przyglądanie się budowie muchy!

— Nie mogę zgodzić się na to.

— Nie? A więc powiem ci, że według mnie te wszystkie mikroskopy, muchy, trąbki, są to bzdurstwa, nie zasługujące na uwagę.

— Gdyby i tak było, to lepiej wybrać bzdurstwa rozwijające umysł, niżeli takie które go zacieśniają.

— Mucha, miałaby... ha! ha! ha! ha! Otóż powiem ci, Franku, że te twoje muchy, tak z mikroskopem jak bez niego, są najwstrętniejszemi stworzeniami na świecie! Nie pojmuję doprawdy o czem Bóg myślał gdy...

— Letycyo, bredzisz!

— Ja bredzę? Czy mówisz to do mnie?

— Tak, do ciebie. — Potem dodał łagodniej: — Dziecko, czy to warto tak się unosić o byle co?

Mistress Tippington, w miejsce odpowiedzi, wstała od stołu przybierając postawę rozgniewanej Junony.

— Spodziewam się że zechcesz pójść ze mną do mistress Donolly, odezwał się poważnie Frank.

— Dostałam migreny. Nie wyjdę z domu, odpowiedziała wprowadzając w wykonanie plan ułożony.

— Cierpisz migrenę? i wyglądasz tak świeżo?

Letycya przycisnęła ręce do czoła.

— Cała głowa jak w ogniu... trzeba było jeszcze tej sprzeczki!

— Biedne dziecko! rzekł Frank z czułością. Idż spocznij chwilkę. Może chcesz abym został przy tobie? Nie? W takim razie za jakie pół godziny dowiem się o twe zdrowie.

Letycya wspięła się na palce, dotknęła ustami twarzy męża i wyszła do swego pokoju, gdzie rzekła do siebie z uśmiechem biorąc w rękę jakiś romans, i siadając na najwygodniejszem fotelu.

— Jak też ci mężczyźni są łatwowierni! Niechby który z nich potrafił tak obałamucić kobietę!

Wkrótce książka z rąk jej wypadła:

— Jak się też dziś ubierze Dianna? Może włoży znów suknię z szarego płótna. Gdyby to Frank chciał mi dać pieniędzy na kostium w kolorze hawana! Mam już w myśli coś prawdziwie zachwycającego, tak pod względem kroju jak ubrania spódniczki... A! być jakąś lady! Ubierać się zawsze podług najświeższej mody! mieć pieniędzy aż do zbytku!.. Buciki i rękawiczki doprowadzają mnie zawsze do rozpaczy, zaledwie dwa razy w życiu zdołałam je dobrać stosownie do całego ubrania, a to stanowi właśnie najwykwintniejszą cechę dobrego tonu. A!..

Skrzypnięcie drzwi rozbudziło Letycyę nagle z zamyślenia, i lekko krzyknęła.

— Kochanie moje, odezwał się Frank wchodząc, czy nie namyślisz się pójść ze mną?

— Ja? Gdybyś wiedział jak jestem cierpiąca! rzekła cichym, omdlewającym głosem.

— W takim razie, nie godzi mi się pozostawić cię samą!

— Wszakże codzień zostawiasz mnie samą, od rana do wieczora, przesiadując w księgarni lub nad rachunkami.

— Ale to zupełnie co innego, moja droga.

— Nie widzę żadnej różnicy.

— Gdybym też został, i czytał ci głośno.

— Ból głowy nie dozwoliłby mi słuchać. Wolę wiedziéć, dodała łagodniej, że przepędzasz przyjemnie czas w towarzystwie Bryana i Henriety, niżeli mieć to przeświadczenie że siedzisz, jak zwykle zdala odemnie, pochylony nad rachunkowemi księgami. — Frank nie opierał się dłużej.

(*D. c. n.*)

Opis do N-ru 44.

N. 1—3. Ubrania domowe dla dam i dzieci.

N. 1. Suknia ze stanikiem z baskiną. Zobaczyć przód spódnicy na ryc. 7 w N-rze 45.

Na modelu spódnica zrobiona była z materyi mienionej w kratkę, a stanik i draperya z szafirowego kaszmiru; przyozdobienie stanowiło kilka rzędów stębnówki i przy staniku podwójna atłasowa wypustka ze sznureczkiem; w baskinę pleców wstawione części fałdowane z materyi. Na przednią draperyę potrzeba bryta prostego 135 cent. szerokiego a 134 długiego, wysoko podpiętego w środku, którego odmienny układ z boków powstaje przez odmienne sfałdowanie brzegów bocznych. Brzeg boczny z lewej strony w górę skośnie ścięty, u dołu luźno spuszczony, stanowi ząb spiczasty z przodu; brzeg prawy układa się w fałdy wskazane na ryc. 1; tylną draperyę upina się z bryta 120 cent. szerokiego, a 135 długiego. Z pod aksamitnego kołnierza w miejsce fryzki wystaje pasek z materyi w kratę.

N. 2. Sukienka z przemarszczanym plastronem, dla małej dziewczynki.

Szeroko otwarte przody luźnego, paltocikowego stanika, zdobi duży kołnierz i haft nakształt ranwersa wyłożony. Spódniczkę ułożoną w kontrafałdy, z przodu pod bufowany plastron podchodzącą, robi się z szerokiego haftowanego szlaku. Kokardy ze wstążki 5 cent. szerokiej. Model odrobiony był z niebieskiego kaszmiru i surah.

N. 3 i r. 4 w N. 45. Suknia z fałdowanym stanikiem. Model kroju i wyszycia do r. 4 N. II, fig. 7—8a.

Gładką podszewkę przykroić podług formy do ryc. 11 i 12, na której oznaczona jest cienką linijką szerokość fałd z przodu i na pleckach, dodanych z oddzielnych kawałków, których model i miarę dajemy na fig. 7, litera *c* i *d*. Na fig. 8 dajemy model i miary sutej draperyi; przyszycie bryta przedniego przykrywa bufa na 14 cent. podwójnie spuszczona, w górze i u dołu w równe kontrafałdy ułożona, przykrojona podług *b*. Tylną draperyę *c* fałduje się podług krzyżyków i punktów, brzeg górny i zaokrągloną część lewego brzegu fałduje się razem i wszywa w pasek od spódnicy, a część pozostałą podpina się w bufę aż do krzyżyka, a dalej luźno spuszcza. Brzeg prawy w górze upina się w dwa pukle a koniec podpina się do spodu. Ryc. 3 przedstawia suknię z granatowego dyagonalu. Spódnica ogarnirowana wolantem 24 cent. szerokim, w górze i u dołu w ząbki wyciętym, przy nagłówku 4 razy przemarszczonym z pod którego u dołu i w górze wązkie falbaneczki wyglądają. Stanik ogarnirowany riuszą 8 c. szeroką, przez środek na sznureczek zmarszczoną z obydwóch stron podgarnirowaną falbankami 5 c. szerokiemi. Ryc. 4 w N-rze 45 przedstawia suknię, której stanik i spódnica ozdobione są aplikacyą z czworokątów aksamitnych, rzadko przydzierganych i wyszytych długim ściegiem podług fig. 8a.

N. 4—7. Woreczek z konopnego, niewarowego sznurka, robota wiązana. Sznury, kwasty i pompony z włóczki ponsowej.

N. 8. Kapa pikowana sposobem marsylskim. Desenie na arkuszu z krojami N. 2 i 3.

W N-rze 16 Tygodnika Mód z r. b., na ryc. 18, 28 i 29 podawaliśmy już taką kapę i opisywali sposób roboty; tutaj dodamy tylko że pod szersze figury deseniu do ryciny 8, trzeba dawać grubsze podłożenie, na które używa się grubego, z kilku drętwin skręconego bawełnianego sznura, jaki widać na niedokończonym deseniu podanym na arkuszu z krojami N. 3. Brzegi deseniu oszywa się stębnówką, która zarazem łączy wierzch z podszewką; na modelu wierzch był z miękkiej i lekkiej materyi karmazynowej, a podszewka z blado-żółtego fularu. Dla braku miejsca nie możemy dać deseniu środkowego, dajemy tylko pod N. 2 część szlaku, któren w górze zakończa się takim jak u dołu szlaczkiem wązkim, a następnie z obydwóch stron daje się szlak N. 3. Brzegi kapy oszywa się frendzlą jedwabną 3 cent. szeroką.

N. 9. Sukienka ze stanikiem bluzkowym, dla panienki lat 9—12. Krój N. VII, fig. 30—32.

Gładką spódniczkę z materyału podszewkowego, pokrywa wolant w kontrafałdy ułożony, u dołu oszyty 3 razy pletnią stopniowej szerokości. Baskina bluzki oszyta wolantem 7 cent. szerokim.

N. 10 i ryc. 13 w N-rze 45. Sukienka z bluzkowym stanikiem, dla małej dziewczynki.

Podszewkę stanika kraje się podług luźnej formy princesse, spódniczkę 37—40 cent. długą a 120 szeroką, pokrywa 4—6 falbanek marszczonych, zestębnowanym obrąbkiem. Spódniczka do r. 10 była z granatowego wełnianego materyału a bluzka z materyału deseniowego. Bluzkę przyszywa się u dołu szwem odwracanym, przemarszcza się na wcięciu w pasie i na odznaczeniu karczka któren układa się w fałdy. Pasek, fryzka i mankiety z materyału gładkiego.

N. 11—12. Suknia zdobna riuszą. Krój stanika i draperyi N. I, fig. 1—6.

Model sukni odrobionej z granatowego dyagonalu, zdobiła riusza 8 cent. szeroka, układana w poczwórne kontrafałdy. Dolną, widoczną z pod draperyi część spódnicy, pokrywa szeroki wolant plisowany na przemian w fałdy 10 i 4 cent. szerokie. Miarę długości i szerokości tunikowej draperyi dajemy na fig. 6, na której także fałdy i podpięcia oznaczone są krzyżykami i kropkami.



Ubrania domowe.

N. 1. Suknia ze stanikiem z baskiną. N. 2. Ubranie małej dziewczynki. N. 3. Suknia ze stanikiem z fałdami. Patrz ryc. 4 w N. 45. Krój na arkuszu N. II, fig. 7—8a.

N. 14. Paltot wcinany z przemarszczanemi plecami. Model kroju na arkuszu z formami N. XI, fig. 38.

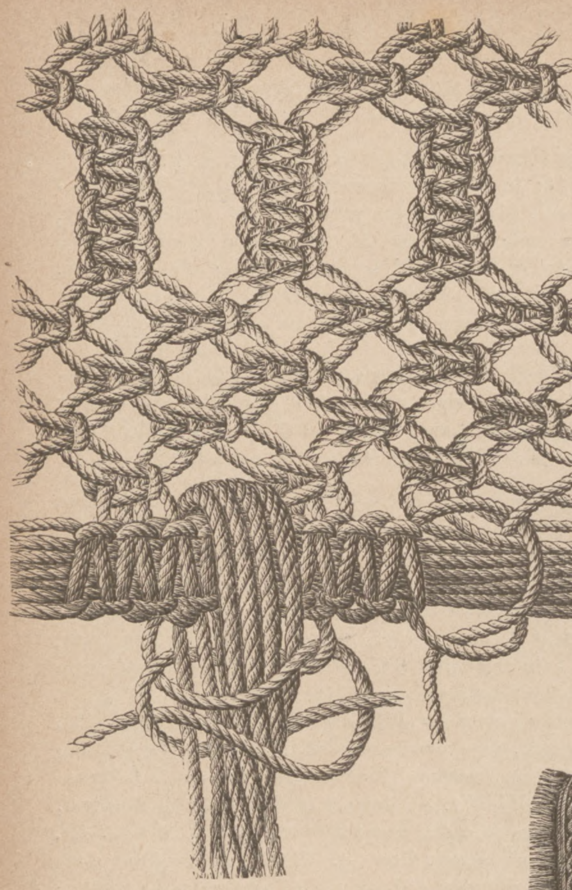
Paltot łatwo przykroić można podług miar podanych na fig. 38; linijki punkcikowe na części *b*, oznaczają przemarszczenia pleców, które przyciągnięte podług figury, nadają wcięcie paltotowi. Model paltota miał jedwabną podszewkę w kratkę, dobraną stosownie do wierzchu. Przody opasane są wstążką aksamisną, wszytą między szwy boczne i związaną z przodu na kokardę.

N. 21. Spódnica odmiennie z dwóch stron podpięta. Zobaczyć drugi bok na ryc. 8 i 18 w N-rze 45, a rękawy w N-rze bieżącym na ryc. 19—20. Model i miary draperyi N. XIII, fig. 41 na arkuszu z krojami.

Przy sukni wełnianej koloru „gris-pigeon“, do stanika zapinanego z boku, dodany jest plastron z materyi jedwabnej, koloru orzechowego, w górze 16 cent. szeroki; z tej strony, z której stanik jest zapięty na guziki, zachodzący na wierzch w kształcie ranwersu, z drugiej strony dodaje się ranwers 8 cent. szeroki, z tego co suknia materyału. Stojący kołnierzyk jest z takiej materyi jak ranwers, a duży wykładany kołnierz i mankiety z szafirowego aksamitu. Do przodów i boczków dodana jest oddzielna baskina, mająca 14 cent. środkowej szerokości, do brzegów stopniowo do 9 cent. zwężona. Plecy kraje się razem z fałdowaną baskiną. Na fig. 41 dajemy model i miary draperyi, której stronę krótszą przedstawioną na ryc. 8 w N. 45, oznaczamy na modelu literą *a*. Brzeg górny fałduje się na 63 cent. długości a dalej gładko przyszywa na spódnicy, brzeg dolny cały sfałdowany podnosi się w górę, sposobem wskazanym na rycinie 8. Drugą dłuższą stronę draperyi, (widoczną na ryc. 18) oznaczoną literą *b*, kraje się razem z draperyą tylną; brzeg górny podług znaków przyfałdowany przyszywa się w odstępie 20 cent. od paska, z boku na spódnicy, potem bryt tak się wykłada że brzeg boczny aż do oznaczonych fałd stanowi brzeg górny; potem daje się fałdy poprzeczne, wypadające na biodrze, część pozostałą od dwukropka do gwiazdki, upina się z tyłu w sposób wskazany na ryc. 21, a część dolną, którą przez fałdy boczne podnosi się i idzie na bok, przyczepia się wzdłuż do wolanta.

N. 22—23. Szkatułka na listy albo na kosztowności, ozdobiona haftem i aplikacyą. Powiększona próbka haftu srebrem na ryc. 37 w N. 44. Desenie na fig. 42—43.

Drewniana szkatułka ma oprócz metalowych, 2 cent. wysokich nóżek, 17 cent. wysokości, 35 długości a 29 szerokości; wystające listwy i brzegi szkatułki okleja się pluszem a wierzch i boki haftem i aplikacyą pluszową na tle atłasowem. Na fig. 43 dajemy deseń na wieko, na 42 na boki szkatułki, a na ryc. 23 połowę deseniu w naturalnej wielkości na ścianę przednią i tylną. Plusz przeznaczony na aplikacye, trzeba najpierw wszyć w krośna lewą stroną do wierzchu i podkleić za pomocą klajstru cienkim papierem, wysuszyć i na papierze deseń wyrysować, następnie wszywa się w krośna atłas podłożony płótnem, rysuje na nim deseń i haftuje najpierw listki srebrem. Kontury i gałązki wyszywa się sznureczkiem srebrnym, a środki listków zapełnia haft bajorkowy, do którego tnie się bajorek w krótkie kawałki (6—7 cent.) każden kawałek nawłóczy się jak perełkę na igłę i wkłada igłę z nitką w to samo miejsce, którem była wyjęta do wierzchu. Tak powstają maleńkie pentelki zapełniające środek listków. Gdy haft srebrem jest wykończony, wycina się aplikacyą pluszową, przykleja na atłasie, oszywa się brzegi cienkim jedwabiem, a następnie cienkim sznureczkiem jedwabnym, tego co plusz koloru. Na modelu na tle z niebieskiego atłasu, aplikacya była z pluszu stalowego koloru.



N. 5. Wiązanie torsady i zamocowanie kwaścika do ryc. 4. Wielkość naturalna.

N. 24 i 25. Sukienka dla dziecka rocznego. Krój N. IV, fig. 12—14.

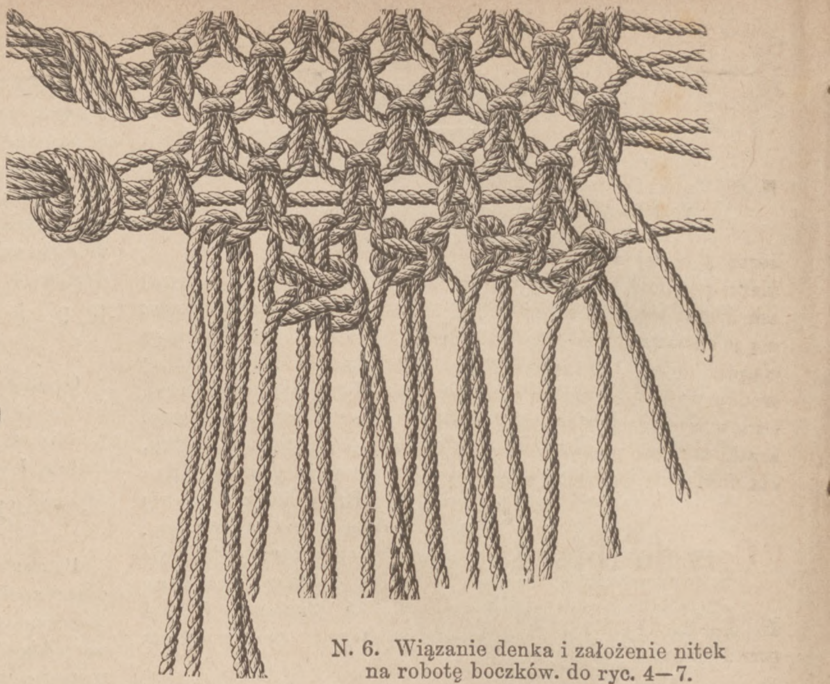
Sukienkę suto ozdobioną gipiurowemi falbankami zarówno zrobić można z batystu lub innych cienkich negliżowych materyałów jak i z wełnianych wyrobów. Przód i plecy układa się podług znaków w kontrafałdy, które na pleckach zaszywa się przez całą długość a z przodu do cienkiej linijki. Falbankę haftowaną przyszywa się od środka wykroju pleców przez ramię i po brzegach fałd z przodu. Długość sukienki dopełnia 12 cent. szeroka haftowana falbanka, na którą zachodzi druga wyżej przyszyta. Krótkie haftowane rękawki dopasować podług fig. 14; pod haft gipiurowy na ryc. 24, podłożyć wstążkę kolorową. Szarfy i kokardy z wstążki 8 cent. szerokiej.

N. 27—28. Suknia z vêtement dla młodych osób. Krój N. III, fig. 9—11a.

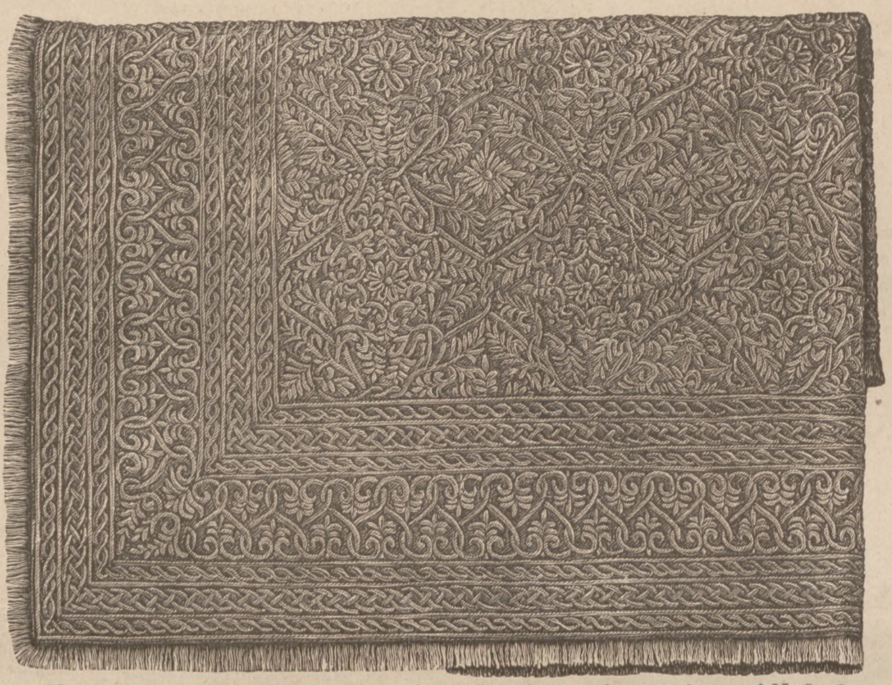
Ryc. 27 i 28 przedstawia z przodu i z tyłu dwie suknie odrobione podług jednego fasonu, z odmiennego materyału i ze zmienionem przybraniem. Na ryc. 27 podajemy suknię z grubego sukienkowego kaszmiru w ciemnym kolorze u dołu i przy brzegu vêtement parę razy przestębnowaną, z aksamitnym kołnierzem i mankietami, przepasaną paskiem skórzanym. Model do r. 28 odrobiony był z ciemno-zielonego „Foulé" z paskiem, kołnierzem, mankietami i szeroką listwą przy plisowanym wolancie, z matery. mienionej w kolorze zielonym i czerwonymi Na podanej w naturalnej wielkości formie vêtement, oznaczona jest cienką linijką forma gładkiej podszewki, podług której zbywającą szerokość zwierzchniego materyału, przymarszcza się przy wykroju szyi i w pasie. Tylne brzegi boczków, sfałdowane podług znaków, podchodzą pod bryt tylny podpięty z boków w dwa pukle, a w środku przyfałdowany podług krzyżyków i kropek.



N. 4. Koszyczek robotą wiązaną. Patrz ryc. 5—7.



N. 6. Wiązanie denka i założenie nitek na robotę boczków. do ryc. 4—7.



N. 8. Kołdra z marsylskiem pikowaniem. Deseń na arkuszu z krojami N. 2—3.

N. 30—31 i ryc. 30 i 36 w N-rze 45. Dwa ubrania staników. Krój N. VIII, figura 30.

Ryc. 30 przedstawia stanik ze stojącym kołnierzem przykrojonym podług fig. 33, podgarnirowanym białą koronką. Na staniku dany chusteczkowy garnirunek z czarnej koronki, przepięty z jednego boku różą i kokardą z szerokiej wstążki.

N. 31. Stanik z wywiniętym kołnierzem z kratki ażurowej i koronki.

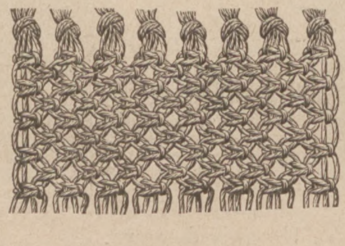
Na ryc. 31 podajemy stanik ozdobiony żabotem z jedwabnej deseniowej gazy, z prostym stojącym kołnierzykiem zwanym „col militaire", na który wywinięty jest kołnierzyk złożony z kratek ażurowych robionych na



N. 9. Suknia z bluzką dla panienki lat 9—12. Krój na arkuszu N. VII, fig. 30—32.



N. 10. Suknia z bluzką. Patrz ryc. 13 w N-rze 45.



N. 7. Denko do ryc. 4 (w zmniejszeniu.)



N. 11. Suknia ze stanikiem oszytym riuszą. Patrz r. 12. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—6.



N. 12. Przód do ryc. 11.



N. 13. Plecy do ryc. 20 w N. 45.



N. 14. Paletot wełniany z przemarszczeniem. Krój na arkuszu N. XI, fig. 38.



N. 15. Ząbki z mignardisse spajane igłą.

płótnie i z koronki. Część kołnierza wraz z koronką dajemy w naturalnej wielkości na r. 30 w N-rze 45, a powiększoną próbkę kratek na ryc. 36. Kratkę robi się na cienkim pasku płóciennym 5 cent. szerokim, zakończonym u dołu pół cent. szerokim obrąbkiem, oszytym koronką 2 $1/3$ cent. szeroką, robioną z białej wązkiej plecionki i nici koronkowych. Mankietki powinny być takie jak kołnierzyk. Na dolny pasek kratki wyciąga się nitek 16, na pasek matowy nad nią pozostawia nitek 12, na kratkę środkową wyciągnąć nitek 16, zostawić na pasek matowy w środku wyszyty ściegiem cierniowym nitek 12, i znów wyciągnąć nitek 16. Ostatni pasek kratki taki jak pierwszy; sposób wiązania dokładnie wskazuje ryc. 36.

Opis do N-ru 45.

N. 1—3. Dywanik przed łóżko. Mozajka z sukna.

Rozmaite resztki sukna, flaneli, burettu, pluszu i t. p. dadzą się zużytkować na dywanik, jaki widzimy na r. 1, odpowiedni do położenia przed łóżko. Model ten był z kwadracików czarnych i popielatych, zakończony czarnym 7 cent. szerokim szlakiem, wyszywanym kolorowo. Ryc. 3 przedstawia w naturalnej wielkości część roboty tła wraz ze szlakiem; na środku każdego kwadracika czarnego wyszyta gwiazdka ponsowa, a na popielatych czarna; na szlaku czarnym dane naprzemian listki ponsowe-czarne; do spajania kwadratów użyta włóczka ponsowa. Dzierganie w około brzegów w odstępie $1/3$ c. na rogach kwadracików krzyżuje się podług ryc. 2; przed zaczęciem dziergania kwadraciki zszywają się rzadkim ściegiem od lewej strony w ten sposób ażeby brzegi płasko schodziły się z sobą. Zeszycie zupełnie przykryte jest ściegiem przewłóczonym przez ściegi dziergania podług ryc. 2. Na spojeniu czterech rogów kwadracików dana kratka z czterech długich czarnych ściegów, przymocowanych poprzecznemi ścieżkami. Brzegi skończonego dywanika, podszytego płótnem, oszyte są ząbeczkami z włóczki berlińskiej, czarnej, (4 o: pow. i 1 o: ścis. w pierwsze z o: pow.) odwróconemi na lewą stronę i zdobnemi krzyżykiem ponsowym.



N. 16. Ząbki z tasiemeczki obrobionej szydełkiem.



N. 17. Czwarta część deseniu na ścieg gobelinowy, do ryc. 32 w N. 45.

N. 5—6. Suknia z pelerynką, dla osób starszych. Patrz ryc 26 w N-rze 44. Krój na arkuszu N. VI, fig. 23—29.

Na ryc. 5 przedstawione ubranie czarne kaszmirowe, złożone z bluzki do paska z karoczkiem spódnicy i tuniki, oszytych plisowaniem 6 i 9 cent. szerokiem i plisami aksamitnemi 5 cent. szerokiemi. Ryc. 6 przedstawia bez porównania strojniejszą suknię z jedwabnego adamaszku, z atłasowemi plisami i frendzlą. Karoczko kraje się podług fig. 29; przednie części *a* zszyte są z tylną częścią *b*, sfałdowaną podług ryc. 6. Bluzka u dołu podszyta listewką do ściągania na tasiemkę; dla osób starszych pelerynka stanowi konieczne dopełnienie tego ubrania i może być z tego co suknia materyału lub aksamitna na jedwabnej podszewce, jaką daliśmy na r. 26 w N-rze 44.

N. 9—10. Krawatki do zawiązania na okryciu.

Ryc. 9 przedstawia krawatkę z materyi surach, 112 cent. długą, 19 cent. szeroką, zakończoną dwoma wolantami z koronki 7 cent. szerokiej, składanemi w kontrafałdy; w zagłębieniach fałd wszywane pukle i końce wycięte w zęby, z wstążki ottoman. U góry wachlarzowe fałdowanie z węższej koronki, zakończone z boku kokardą. Druga krawatka z żółtawej deseniowej materyi 108 c. długa, 24 szeroka, zdobna saską koronką 11 c. szeroką, drobniutko splisowaną i ułożoną w kontrafałdy 2 cent. szerokie. U góry naszyta gładko brzegiem do środka, koronka wyszywana złotem.

N. 11. Fartuszek z marszczeniem. Krój na arkuszu N. X fig. 37.

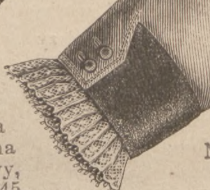
Uszyty z granatowej satynki, zakończony pliską z jasnemi wypustkami i szydełkową koronką. Fartuszek u góry zmarszczony jest do 33 cent. szerokości, na-



N. 18. Spódnica do ubrania żałobnego ryc. 15 w N-rze 45. Krój na arkuszu N. IX, fig. 34—36.



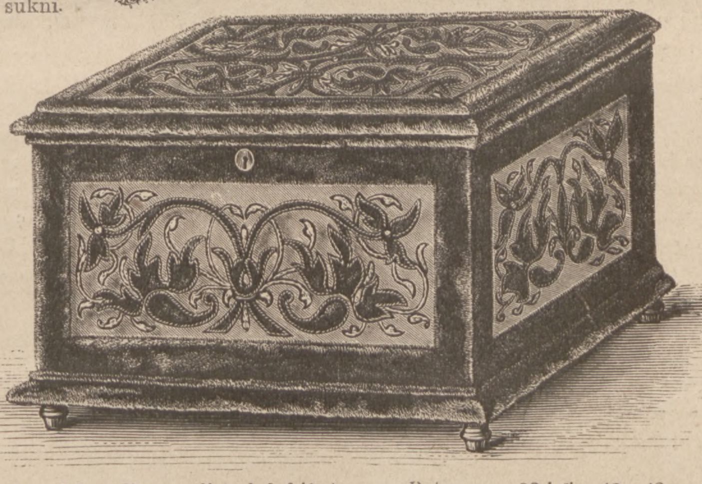
N. 19. Rękaw do sukni.



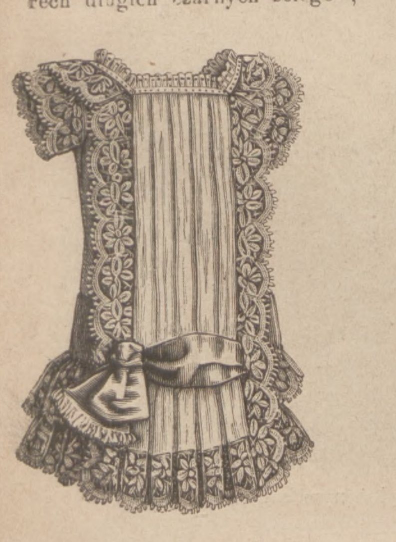
N. 20. Rękaw do sukni.



N. 21. Suknia z draperyą odmiennie podpiętą z boków, do r. 8 i 18 w N. 45. Krój na arkuszu N. XIII, fig. 41.



N. 22. Szkatułka na listy lub biżuterye. Patrz ryc. 23 i fig. 42—43 na arkuszu z krojami.



N. 24. Sukieneczka dla dziecka Patrz ryc. 25. Krój na arkuszu N. IV, fig. 12—14.



N. 23. Część deseniu na boki poprzeczne szkatułki ryc. 22.



N. 25. Sukieneczka dla dziecka. Patrz ryc. 25.

pierśnik zaś do 13 centymetrów i złączone są z sobą gładkim paskiem 55 centymetrów długim.

N. 12—22. Ubrania spacerowe i domowe.

N. 12. Suknia z fałdowanem vêtement.

Na gładką aksamitną spódnicę włożone vêtement kaszmirowe tego samego koloru; składa się ono z niezbyt długiego stanika dopełnionego od przodów do pleców plisowaniem, sięgającem nieledwie do dołu sukni. Przy plecach dodany bryt prosty, lekko podpięty. Do wyjścia na ulicę vêtement dopełnione jest oryginalną pelerynką, z szerokim aksamitnym kołnierzem i sutą kokardą.



N. 27. Suknia z vêtement, dla młodej panienki. Patrz ryc. 28. Krój na arkuszu N. III, fig. 9—11a.



N. 26. Suknia z pelerynką, dla osoby starszej. Opis w N-rze 45. Krój na arkuszu N. VI, fig. 23–29.

N. 14. Płaszczyk jesienny.

Może być odrobiony z materyału wełnianego gładkiego lub w kratę, podług formy danej w dawniejszych N-rach, przymarszczając szerokie rękawy u dołu. Z przodu zamiast paska dana wstążka przewiązana w kokardę; stojący kołnierzyk imankiety aksamitne.



N. 29. Kapelusz filcowy podszyty aksamitem, zdobny piórami.

N. 16 i 21. Suknia z plisowaniem.

Przedstawiona z przodu i z tyłu na ryc. 16 i 21, może być z materyi jedwabnej i wełnianej jednego koloru, lub z gładkiej i deseniowej. Spódniczka składa się z patek po 20 cent. szerokich, przedzielanych plisowaniem, w tenże sam sposób zszyta jest draperya przednia, podwinięta w bufę. Plastron na staniku u góry przemarszczony w bufę, u dołu drobno sfałdowany, przepięty jest trzema patkami. Zapięcie stanika dane od spodu na haftki.

(D. c. n.)

N. 15. Ubranie żałobne. Patrz ryc. 18 w N-rze 44. Krój na arkuszu N. IX, fig. 34—36.

Na maleńkim formacie fig. 34 dajemy zestawione razem bryty spódnicy żałobnej z długim trenem, z draperyą gładko spadającą z tyłu, odrobionej z kaszmiru foulé i krepy angielskiej. Na spódnicę krótką, daną na r. 18 w N-rze 44 kraje się tylko przód i kliny *b*, które zszywa się z tylnym brytem *d* odpowiednio skróconym. O ile spódnica jest widoczną z pod draperyi, pokrywa się plisowaniem z krepy, 78 cent. długiem, przyciśniętem czterema patkami po 17 centym. szerokiemi w górze, 10 u dołu, podszytemi sztywnym muślinem. Tren zakończony wolantem w kontrafałdy, 9 cent. szerokim, przybrany jest szeroką plisą krepową. Połowę draperyi przedniej daje fig. 35; karczko przy plecach bawetowego stanika, dane z prostego kawałka, fałduje się podług fig. 36 i upina podług ryc. 15 w pukiel i dwa końce z boków.



N. 28. Suknia z vêtement, dla młodej panienki. Patrz ryc. 27.



N. 30. Stanik ze stojącym kołnierzem. Krój na arkuszu N. VIII, figura 33.



N. 31. Stanik z wyłożonym kołnierzykiem.



Pl. 555.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.